

wydanie specjalne
**kurier
lubelski**
w **kamieniu**

Kamienia

NR 6 (078)

22 marca 1987

Cena 20 zł

Artykuł dyskusyjny

Dla kogo książka?

Wiesław Horabik

JEDNYM z celów reformy gospodarczej jest, jak wiadomo, takie ożywienie działalności produkcyjnej, aby, zachowując właściwe relacje pracy i płacy, gospodarka osiągała maksymalnie wysoki zysk ekonomiczny. Owo pojęcie zysku zaczynają jednak niektórzy rozumieć zbyt dosłownie — jako zysk wszędzie i za wszelką cenę, jako zysk widziany jednopłaszczyznowo, w wymiarze wyłącznie materialnym; jako zysk, co tu dużo mówić, w ujęciu kapitalistycznym. Tak pojmowana reforma rodzi szybko niebezpieczne pochodne. W obowiązującym nakazie samofinansowania zatracamy zasady zdrowego rozsądku. Fatalne skutki tej sytuacji odczuwane są najboleśniej w obszarze tzw. sfer nieprodukcyjnych lub produkcyjnych umownie, tworzących bowiem rzeczy wyrastające ponad materialną wartość. Do takich na-

Dokończenie na str. 10



Lubelskie sylwetki: Irena Szczepowska-Szychowa — str. 4-5.
Na zdjęciu pierwsza z lewej — Egipt 1943 r.

Repr. Andrzej Polakowski

Socjalizm Józefa Piłsudskiego

Emil Horoch

W 1893 r. doszło do rozłamu w polskim ruchu robotniczym. Powstała Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Polska Partia Socjalistyczna. Jednym z przywódców PPS został Józef Piłsudski. Grupa przywódców PPS skupiała działaczy, którzy na plan pierwszy w swoim działaniu wysunęli hasła narodowyzwoleńcze. PPS eksponowała w swych wydawnictwach walkę z uciskiem carskim, informowała o działalności innych partii robotniczych, ukazywała trudną sytuację robotników. W dziedzinie ideologii założyciele i przywódcy PPS — S. Wojciechowski, S. Grabski, L. Wasilewski, W. Jodko-Narkiewicz, J. Piłsudski — odchodzili od zasad socjalizmu naukowego. Grupa ta koncentrowała się głównie na walce politycznej z caratem, mniej uwagi poświęcając walce ekonomicznej; głosiła separatyzm wobec rosyjskiego ruchu robotniczego. Dojście do socjalizmu widziała na drodze reform. W PPS, która pod względem ideowym nie była jednolita, działacze ci reprezentowali prawie skrzydło partii

podupadłej szlachty. Było to pokolenie, którego młodość i wchodzenie w dojrzałe życie przypadły na powstaniowy okres represji carskich. Oblicze ideowe tego pokolenia, zwłaszcza w dzieciństwie i młodości, kształtowało się w atmosferze głębokiego patriotyzmu i antyrosyjskości. Wyraźnie widać to w życiorysie J. Piłsudskiego, którego dzieciństwo i młodość upłynęły w takich warunkach, kultywowa-

nych przez dom rodzinny na ziemiach litewskich.

Socjalizm stanowił dla tej grupy przede wszystkim ideologię czynu, przeciwstawiając się odchodzeniu społeczeństwa od ideałów walki narodowyzwoleńczej. W Królestwie i na ziemiach litewskich była to ideologia walki z caratem. Program walki klasowej pomijano lub wręcz odrzucano. Młodzi daleką od lojalizmu i oportunistycznym, często fascynowali socjalizmem, który głosił zasady walki i rewolucji, A. Garlicki w monografii „U

źródła obozu belwederskiego” przypomina modne wówczas powiedzenie Clemenceau: „Kto nie był za młodu socjalistą, będzie na starość lajdakiem”. Stwierdził dalej Garlicki, iż „wielu z tych młodzieńców pozostanie przy swoiście pojmowanym socjalizmie, inni znajdą się w szeregach rewolucyjnego ruchu robotniczego, inni wreszcie już wkrótce przejdą na drugą stronę barykady”. Z kolei H. Jabłoń-

ski w pracy „Polityka PPS w czasie wojny 1914—1918” podkreślił, że z ruchem socjalistycznym wiązały się grupy, które traktowały proletariata jako siłę przydatną do realizacji swoich zamierzeń. Jego zdaniem, ci działacze byli „jak najbardziej skłonni do wszelkich sojuszków, bez oglądania się na interesy klasy robotniczej”. Wielu z nich, według H. Jabłońskiego, to epigoni powstań narodowych, którzy nigdy nie zaakceptowali zasad socjalizmu naukowego. Powyższe uwagi można całkowicie odnieść do poglądów J. Piłsudskiego.

W wielu publikacjach i dyskusjach dwudziestolecia międzywojennego i współcześnie stawiano pytania: jakie były związki Piłsudskiego z socjalizmem? Czy stworzył zwarty system poglądów w tej dziedzinie?

Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania, patrząc przez pryzmat działalności pisarskiej J. Piłsudskiego w latach: 1893 (od powrotu z zesłania) do 1903, kiedy to opublikował artykuł pt. „Jak stałem się socjalistą”. Zapewne właśnie w tym okresie ukształtowały się poglądy Piłsudskiego na socjalizm, a zarazem od 1904 r. (od wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej) zaczął się stopniowo rozluźniać jego związek z ruchem socjalistycznym. Twórczość Piłsudskiego z omawianego okresu została opublikowana pod firmą Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski w 1930 r. pt. „Pisma — Mowy — Rozkazy. Wydanie zbiorowe prac dotychczas wydanych drukiem”. W skład komitetu redakcyjnego weszli: Michał Sokolnicki i Julian Stachiewicz, sekretarz redakcji — Władysław Malinowski oraz Leon Wasilewski, który napisał wstęp i opracował przypisy.

Dokończenie na str. 11

Z HISTORII NAJNOWSZEJ

z notatnika

III. Wysłałem dziś do drukarni większą część tekstów do tego właśnie numeru „Kamena”, który w lubelskich kioskach „Ruchu” ukazuje się w czwartek, 19 bm., w dniu święta Józefa. Jest zwykłym przypadkiem, że akurat w tym właśnie, bieżącym numerze zamieszczamy artykuł dr. nauk humanistycznych Emila Horocha pt. „Socializm Józefa Piłsudskiego”. Fakt ten nie uszedł naszej uwadze. Moi koledzy z kierownictwa „Kamena” nie mogli chodzić do przedwojennej szkoły (Maciek Podgórski jeszcze chyba nawet nie gaworzył w kołyszce, a Piotra Kopciowskiego urodzin nawet nie zaplanowano), ale ja pamiętam, że zawsze w dniu 19 marca odbywały się szkolne akademie: najpierw czciliśmy samego Marszałka, a po jego śmierci — czciliśmy pamięć Marszałka. Zadowolony w domowej bibliotece wydana w 1936 r. unikalną książeczkę, 2125 egzemplarzy tej publikacji jest własnoręcznie podpisanych przez autorkę — Kazimierę Illakowiczównę. Nie, to nie „Sześć obok drogi”, ale zbiór wierszy o Piłsudskim. A jakże, uczyliśmy się ich na pamięć; to tylko dzisiaj słyszy się tu i ówdzie, że przedwojenna szkoła była apolityczna! Pozwól sobie jeden z tych wierszy przypomnieć. Tytuł: „Na święty Józef”:

Święty Józef i pan Marszałek
mają imienniny.
Ubraliśmy ich portrety
zieloną chojną.

Na pagórkach leżą chmury,
na równinie — woda.
Pan Marszałek nosi wasy.
Święty Józef — brodę.

Po równinie rzeka płynie,
a na rzece żagle,
Święty Józef trzyma lilie,
pan Marszałek szablę.

Nie zdążyłem już pokochać Marszałka. Ojca zraził do Piłsudskiego proces brzeski, kultu jego osoby więc w naszym domu nie było. To temat do obszerniejszych wspomnień, może przyjdzie czas i na nie. Byłe, jak zwykle się mówi, zdrowie dopisywało!

Kiedy już zacząłem refleksje na temat numeru, który Państwo trzymają teraz w ręku, chcę je kontynuować. Strony szósta i siódma, które zwykle poświęcamy problematyce literackiej, tym razem „wydzierżawiliśmy” koleżankom i kolegom z „Kuriera Lubelskiego”, obchodzącym w drugiej połowie marca nie tak znów maly jubileusz swej gazety. „Kurier Lubelski” towarzyszy nam stale od lat trzydziestu, nie tylko przyzwyczailiśmy się do niego, ale i go polubiliśmy. W 1957 r., kiedy „Kurier” powstawał, pracowałem w „Sztandarze Ludu”, w którym redagowałem pierwszą i drugą stronę, tzw. depeze. Przy jakiejś okazji Leszek Gnot, kierujący „Kurierem”, zaproponował mi, abym pisał krótki komentarz polityczny na pierwszej stronie. „Pracujesz w nocy — mówią — masz najlepsze wiadomości, co ci szkodzi zostać tę godzinę dłużej i niecałą stronice maszynopisu przygotować. Napiszesz, zostawisz w nocej redakcji, rano oddamy tekst na linotypy”. „Ale ja się muszę porozumieć z moim naczelnym...” — wahałem się nieco. Już uleciało mi z pamięci, czy ówczesny mój szef, Marian Wawrzycki, ojciec Andrzeja, wyraził zgodę na moją współpracę z „konkurencją”, czy też pracowałem „na czarno” w każdym bądź razie odpowiedziałem Leszkowi: „tak”. Komentarzyki pisywałem w pośpiechu, zbytnio się nie wysilałem, co dziś przynajmniej ze skrucha, i ta współpraca trwała przez kilka miesięcy. Nie wiem dlaczego wybrałem sobie pseudonim „Konrad”. Konrad bardziej kojarzył mi się z Konradem Bieleskim, którego ubóstwiałem, niż z Konradem Adenauerem, którego nienawidziłem z całego młodego wówczas serca. Ja się nie wysilałem, ale nie wysilała się również i redakcja płacąc mi za tekst w granicach 40—60 złotych. Chociaż, jak się tak głębiej zastanowić, nie były to wcale pieniądze tak małe zwłaszcza, kiedy dochodziło do miesięcznego bilansu. W 1957 r. kilogram kielbasy zwyczajnej kosztował 24 zł, stynki — 55 zł, kawy — 300 zł, pół litra wódki — 39 zł,

kilogram cukru — 12 zł, ale ubranie (z wełny 100-proc.) już 2250 zł, a odbiornik radiowy „Stolica” — 1950 zł. Przeciętna płaca miesięczna w przemyśle krajowym wynosiła wówczas 1578 zł, a średnia krajowa w gospodarce uspołecznionej kształtowała się na poziomie zaledwie 1395 zł.

Dane te zacerpiałem nie z pamięci (bez przesady!), ale z ówczesnego „Rocznika statystycznego”. Po uważnej lekturze, po poczynieniu odpowiednich porównań, muszę stwierdzić, że w owym czasie dziennikarstwo przynosiło całkiem niezłe pieniądze (zwłaszcza, gdy chodziło o pisać), choć o własnym samochodzie niewiele z nas nawet marzyło. W całym kraju w rękach prywatnych znajdowało się wówczas tylko 40846 samochodów osobowych, o czym więc tu było marzyć!

A swoją drogą, kiedy dziś na pierwszej stronie „Kuriera” znajduje komentarzyk w rubryce „Tak toczy się świat”, to jego autor powinien zań uzyskać (w porównaniu do 1957 r.) honorarium w wysokości ok. 1000 zł. Gdybym napisał, ile dostaje, koń by się uśmieł. Kryzys, z którego się dźwigamy (oj, powoli...), położył wszystkich na kolana, a dziennikarze bynajmniej nie kłęczą w ostatnim szeregu. Wręcz przeciwnie!

Dość jednak o mamonie, bo gdyby tylko o nią chodziło, od dawna już handlowalibyśmy na targu, no i maćci jubileusz „Kuriera” tego typu dywagacjami po prostu nie wypada w trosce chociażby o nerwy obecnego szefa pisma, Włodka Wójcikowskiego, który kieruje „Kurierem” od 1982 r., przeżywa więc również maly jubileusz, powiedziałbym jubileuszko, pięciolecie pracy na tym stanowisku. Włodek, jak Włodek, obaj jesteśmy już zaawansowani wiekiem, ale nigdy bym nie przypuszczał, że Czarus Mikulski, syn Bogusia, mego kolegi ze „Sztandaru”, którego znałem (Czarusia) niemal od jego pieluszkowych czasów, będzie kiedyś w „Kurierze” sekretarzem! Młodzi dziennikarze, kochajcie synów swoich szefów, bo nigdy nie wiadomo, czy w waszym bardzo dojrzałym wieku, nie będą oni (synowie) wami kierować! Moja córka ukończyła anglistykę, więc zespołowi „Kamena” nie z jej strony nie grozi, chyba żeby „Kamena” wychodziła w języku angielskim, ale niestety tego nie żąda i nie zanosi się, by cokolwiek uległo tu zmianie. No, i fajnie.

Teraz poważnie. Pisząc o jubileuszu „Kuriera”, nie mogę pominąć nazwiska Haliny Szatkowskiej-Chabros, która przez wiele lat pełniła funkcję zastępcy redaktora naczelnego, a przedtem kierowała lubelską mutacją „Życia Warszawy”, ukazującą się pod tytułem „Życie Lubelskie”. Halina zmarła przed bodaj dziesięcioma laty, przyjaźniłiśmy się, należała do grona rasowych dziennikarzy, którzy potrafili i kierować, i samemu pisać. Muszę też przypomnieć nazwisko Jurka Turzańskiego, dziś emeryta, który odegrał dużą rolę w kształtowaniu powojennego oblicza prasy lubelskiej. W swoim czasie (daty trudno mi zapamiętać) ze stanowiska sekretarza redakcji „Kuriera” przeszedł on na miejsce Haliny, której zdrowie mocno już szwankowało.

Na emeryturze są też m.in.: Stefan Piotrowski, zdolny reporter, i pełen pomysłów sekretarz redakcji, Ryszard Sadurski — wieloletni kierownik działu łączności z czytelnikami. Do Kielec przeniósł się wszedłoby Kazio Spólnicki (córka Marzena, poszła w ślady ojca i pracuje w „Trybunie Ludu”). Niektórzy spośród bardziej i mniej starej gwardii również wyemigrowali do innych miast (m.in. Romuald Karas, Rysiek Nowicki, Andrzej Malinowski), niektórzy zaś nie ma czego ukrywać, odeszli z „Kuriera” po czasie sierpniowo-grudniowej zawieruchy. Z różnych względów, ale to rozdział sam w sobie.

Tyle słów ode mnie. Życzę „Kurierowi” w jego bardzo odmłodzonym składzie, by nadal towarzyszył nie tylko codziennemu życiu miasta, ale i aby nadal myślał o jego jutrzejszym kształcie. Życzę również zwiększenia objętości pisma i jego nakładu, choć wiem, że z uwagi na określone trudności papierowe, życzenie to należy do grona pobożnych. Ale wspólnie pomarzyć nikt nam przecież nie zabroni. „Kamena”, wprowadzając w niebyt licznych egzemplarzach dotychczas do wielu miast i miasteczek, Polski. Myślę,

że starzy lublinianie, którzy zmienili miejsce zamieszkania, i którzy w tym nowym miejscu „Kuriera” nabywać nie mogą, spojrzą na tę szóstą i siódmą stronę bieżącego numeru „Kamena” z nutką sentymentu. Na tych stronach znajdują „Kuriera” jak żywy. („Kurier” w koncentracji). Nie ukrywam, że również z myślą o nich wystąpił pod adresem zespołu „Kuriera” o poparcie naszego pomysłu. „Kurier” w „Kamencie” — tego jeszcze nie było (nie licząc żartu prima-aprilisowego). Trzymajmy się i popierajmy wzajemnie, należymy wszak do jednej ereswuprasowskiej rodziny. Oczywiście i w najlepszej rodzinie dojść może od czasu do czasu do niesnasek, ale kto mówi, że miłość musi być ślepa?

Sursum corda!

III. Przed kilkoma dniami odbyła się w Lublinie premiera nowego filmu Bohdana Poręby „Złoty pociąg”. Po projekcji z widzami spotkał się: Poręba, Waclaw Ulewicz (grający rolę Bobruka) oraz — jako że film powstał w kooperacji z Rumunami — popularny w tym kraju aktor Miłica Popescu i scenarzysta „Złotego pociągu” — Ioan Grigorescu. Publiczność, muszę przyznać, ciepło powitała gości, rozwinęła się nawet dyskusja, w której też to i owo powiedziałem, aczkolwiek zwracałem uwagę na drobniaki. Recenzowanie w „Kamencie” filmu pozostawiam Mirkowi Dereckiemu (vide: następny numer).

Bohdan Poręba zapowiedział, że teraz przygotowuje się do zekranizowania powieści Jana Dobraczyńskiego pt. „Brama Lipska” — jest to film o księciu Józefie Poniatowskim. Książkę tę na scenariusz przerobił również Ioan Grigorescu (znający zresztą język polski), co mnie, przynajmniej, zdziwiło. W kuluarach zapytałem po cichu Porębę, czy do tego stopnia bojkotują go polscy scenarzyści, że musi aż sięgać po twórców zagranicznych? Zachnął się, mówiąc, że Grigorescu pisze przecież scenariusze i dla Hollywood. Hollywood wychowywał mnie filmowo w dzieciństwie, więc tylko mogłem skłonić głowę z uszanowaniem.

„Złoty pociąg” można, oczywiście, obejrzeć, choć o wartości historycznej filmu z pewnością należałoby dyskutować. Poręba zastrzegł się zresztą, że jest to wprowadzenie filmu oparty na faktach, ale i film przygodowy. Chwilami westernowy — dodałbym.

Fragment akcji rozgrywa się w Lublinie. Widać szosę z tabliczką: „Lublin 17 km”. I ta tabliczka to cały Lublin. Później rzecz dzieje się w hotelu. Czyli nigdzie. Nie można było wykorzystać choć na moment zaułków Starego Miasta?

Jest taki moment w filmie, kiedy przetrzuca się skrzynki ze złotem z pociągu do pociągu. Oba pędzą równoległe po szynach. Zajmuje się tym dwóch ludzi, a złota są całe tony. W takie cuda nikt już nie uwierzy!

Stop! Odbieram chleb Mirkowi!

III. Po znanych wydarzeniach w Alma-Acie prasa radziecka wiele uwagi poświęca zagadnieniom Kazachstanu. Nowo wybrany I sekretarz KC Komunistycznej Partii Kazachstanu, Giennadij Kolbin, w rozmowie z grupą mieszkańców tej republiki powiedział (a jego słowa zamieściła „Kazachstanskaja Prawda”), że „umocnienie zasad sprawiedliwości społecznej i praworządności przy rozdziale mieszkań jest najważniejszym warunkiem urzeczywistnienia programu mieszkaniowego”. Gazeta pisze dalej, że w Alma-Acie znaleziono kilkaset mieszkań, które były przydzielone w niezgodzie z przepisami. Wielu pracowników szeregów kierownictwa dostawało mieszkania nie tylko dla siebie, lecz i dla swoich krewnych. Mieszkania otrzymane dzięki protekcji zostały zakwestionowane i przekazane najbardziej potrzebującym. Osoby na kierowniczych stanowiskach, które dopuściły się tych wykroczeń, odwołano.

Słowem, towarzysze w Kazachstanie ostro się wzięli do roboty. Zyska partia, zyskają ludzie. No, niektórzy ludzie to i owo stracą, ale dopódy dzban wodę nosi... (ciekawe, czy tam znają to przysłowie?).

Centralny organ KC KPZR „Prawda” jeszcze jeden bardzo krytyczny artykuł poświęcił dotychczasowym stosunkom w tej części ZSRR. Dostało się i miejscowej prasie. Dwa pisma (za podane tytuły) „wyróżniły się mechanicznym powtarzaniem banalnych prawd i jargonem słownym”. No, nawet zmieniając z dnia na dzień swe oblicze „Trybuna Ludu” żadnemu polskiemu pismu tak nie doszli! Jargonu słownego na pewno w naszej prasie teraz mało, ale sloganowej publicystyki do końca jeszcze nie wyrugowaliśmy. Od czasu do czasu przeglądaliśmy te czy tamte dzienniki lub ty-



Rys. Józef Tarłowski

Mówi się o nim: żołnierz trzech narodów; człowiek, który się kulom nie kłaniał. 27 marca 1947 r., czterdzięci lat temu gen. Karol Świerczewski-Walter zginął pod Bałtogradem z rąk faszystów ukraińskich.

godniki z nagłówkiem „Pismo PZPR”. Konkrety? A co to, tylko ja mam się narażać?

III. W „Przeglądzie Katolickim” (nr 11) rozmowa z Andrzejem Lapickim. „A jak Pan się czuje tak blisko Kościoła? — pyta dziennikarz. — Lektor kroniki filmowej z lat pięćdziesiątych, uwielbiany przez kobiety amant, mężczyzna światowy doradca dziś Prymasowi Polski. Czy Pana życiem kierował przypadek, czy dostrzegalna teraz logika?”

Odpowiedź Lapickiego: „Jest to droga, którą przeszło przez życie bardzo wielu moich współkompanionów. Zawsze byłem katolikiem i nigdy bym nim nie przestał, a droga pełna zakrętów i komplikacji wydaje mi się dość typowa dla naszej inteligencji. Pytaniem o kronikę trafił Pan w mój czuły punkt. Kiedy w telewizji oglądam stare kroniki, słyszę mój głos jakby zza grobu. Nie był to ani wybór życiowy, ani polityczny, lecz lekkomyślna decyzja młodzieńca. Narzuciło mi to stereotyp utrudniający przez długi czas pracę aktorską, a na moją sylwetkę rzuciło cień.”

A oto dwa dalsze pytania i odpowiedzi:

Pytanie: „Księża dyskwalifikują niekiedy nawet wybitnych ludzi z powodu trybu ich życia. Artyści mają od dawna szczególny status w społeczeństwie, czy nie trzeba więc okazać tolerancji?”

Odpowiedź: „Ta delikatna sprawa niepokoi również publiczność. O artystach to i owo wiadomo. Wypowiadane w kościele teksty nie mogą stać w rażącej sprzeczności w postawę moralną. To nie jest scena, gdzie może się produkować każdy, kto ma talent. Występ w kościele jest czymś więcej.”

Pytanie: „Rodzajem modlitwy?”

Odpowiedź: „Właśnie. Dlatego mam opór wobec słuchania w kościele kogoś, kto się przedstawia jako niewierzący. Kościół jest otwarty i ja nie będę za surowy, zwłaszcza że przypominał mi Pan cały mój życiorys. Ale co z tego, że ktoś pięknie coś powie, jeśli wiem, że zrobił to dla pieniędzy, albo uproszony przez kolegów, a sam jest ateistą?”

Andrzej Lapicki, niedługo, jak sam stwierdza, lekkomyślny młodzieniec, zabiera dziś głos jako człowiek bardzo dojrzały. Doradca Prymasa Polski powiedział publicznie to, o czym niektórzy jego koledzy również mówią, lecz przy czymś głośnie...

III. Od 8 lutego trwa remont jedynego sklepu spożywczego (nr 254, WSS „Społem”) na osiedlu im. Henryka Sienkiewicza w Lublinie. Wykonawcą jest... RSP Lany k. Markuszowa. Na kartce, zawieszanej na drzwiach, widnieją nazwiska kierownika budowy inspektora nadzoru. Rubryczka: „termin wykonania” pozostała nie wypełniona. RSP niczego więc ludziom nie chce obiecywać, co cieszy, ale ciekawi mnie bardzo sam tekst umowy zawartej między WSS „Społem” a wykonawcą. Ani jednej ani drugiej stronie nie zależy na pieniądzach? Nie można się było umówić, że im szybciej, tym drożej? Czyżby do handlu ciągle się dopłacało i nikomu nie zależało na szybkim remoncie i szybkim wznowieniu sprzedaży?

Lany, koło Markuszowa... Czy to te same Lany, które oglądaliśmy kiedyś w filmie pt. „Jasna Lany”? „Jasna”

A ludzie, Panie Prezeso WSS, pociągaj. Ja również.

M. A. Jaworski

ROZMAIŁE kultury starożytne wyznaczały kobietom — niezbyt uprzywilejowaną — pozycję w ówczesnych strukturach społecznych. U Babilończyków kobiety sprzedawano na licytacji, a każda z nich przynajmniej raz w życiu była zobowiązana oddawać się nierządowi w świątyni semickiej bogini Mylitty. U Lidyjczyków (Lidia lub Lydia, kraj położony w środkowej części zachodnich wybrzeży Azji Mniejszej) kobieta nierządem zarabiała na przyszły swój posag. Podobnie było w Armenii, gdzie najznakomitsi nawet obywatele oddawali swoje córki bogini Anahitis, prawo zaś stanowiło, aby te, które przez pewien czas na służbie jej przesiadywały (tzn. oddawały się nierządowi), wydawane były za mąż. Znaczniejsza była pozycja kobiety u Greków, gdzie pełniła ona rolę pani w swym domowym gospodarstwie. Rzymianie z kolei przyznawali mężom prawo zabicia żony — w przypadku cudzołóstwa oraz picia przez nią wina.

Dość powszechnie uważa się, iż autentyczna promocja kobiety, głównie jej miejsca w społeczeństwie, następuje dopiero za sprawą chrześcijaństwa i że właśnie Chrystus, wraz z apostołami, nobilituje kobietę, wynosząc ją do należnego jej miejsca oraz otaczając ją szacunkiem i przysługującą godnością i czcią. Dzieje się tak w chrześcijaństwie — ale tylko częściowo — za sprawą Marii, matki Jezusa, która w Nowym Testamencie zajmuje najbardziej uprzywilejowane miejsce spośród wszystkich kobiet. Wątek Marii wspólnie jednakże z wątkiem Ewy, która spowodowała upadek kobiety w wiekach poprzedzających przyjście Chrystusa.

Niekwestionowana pozycja Marii nie jest w stanie przez wiele wieków istnienia chrześcijaństwa zatężyć w świadomości Kościoła owej niechlubnej roli, jaką odegrała Ewa, oraz faktu, iż powstała ona (Ewa) z mężczyzny. Wszakże to Adam nazwał Ewę „ciężką” — co ks. J. Wujek określił jako „mężyna”, ponieważ z męża (hebr. — *isz*) wzięła swój początek.

Jeśli przyjmiemy, iż kultura europejska jest kulturą chrześcijańską, to oczywista implikacja wydaje się być fakt, iż sytuacja kobiety była także następstwem lansowanych wzorów, ocen i norm wyrosłych na gruncie tejże kultury. Zgodnie bowiem z Nowym Testamentem, kobieta w małżeństwie była całkowicie podporządkowana mężczyźnie. Pomijając te partie Pisma św., w których nakazuje się szacunek i cześć kobiecie, tradycyjny model niewiasty i małżonki kształtował się właśnie pod wpływem wersetów eksponujących jej służebną względem mężczyzny rolę.

W dyrektywy tego rodzaju obfituje zwłaszcza list pierwszy do Koryntian św. Pawła. W nim to bowiem powiada się, iż głową niewiasty jest mężczyzna (1 Kor 9,3), zaś uzasadnienie tego poglądu jest następujące: „bo nie mężczyzna jest z niewiasty, ale niewiasta z mężczyzny. Mężczyzna bowiem nie był stworzony dla niewiasty, ale niewiasta dla mężczyzny” (1 Kor 9, 5, 9). W identycznym niemal tonie utrzymany jest list do Tymoteusza, w którym czytamy: „a nauczać niewiście nie pozwalaj ani też przewodzić nad mężem, ale zachowywać się w milczeniu. Bo Adam stworzony jest pierwszy, potem Ewa i nie Adam był zwiędziony, Niewiasta bowiem była zwiędzona i dopuściła się przestępstwa. Ale zbawiona będzie przez rodzenie dzieci, jeśli trwać będzie w wierze, w miłości oraz w świętobliwości połączonej ze skromnością” (1 Tym 3, 12—15).

Od kobiety zatem oczekiwano uległości, skromności, posłuszeństwa, oddania oraz rodzenia i wychowywania

dzieci. Odmienne — spowodował dopiero ruch — emancypacyjny — który kształtował się pod różnymi sztandarami, poczynając od XIX wieku. Nie kto inny, a właśnie same kobiety uchwaliły w 1910 r. na II Międzynarodowej Konferencji Socjalistek w Kopenhadze 8 marca — dniem kobiet. Dzień ten wybrano dla uczczenia demonstracji zorganizowanej przez szwajcką i włóknianką 8 marca 1937 roku w Nowym Jorku. Zrówanie w prawach z mężczyznami kobiety zdobywały stopniowo Prawa polityczne, tzn. prawo czynne i bierne, jako jedne z pierwszych posiadały m.in. kobiety w Norwegii (1913), w niektórych stanach USA (1914), w Danii i Irlandii (1915), w Holandii (1917), a także w Polsce (1919).

Pod wpływem tego — powszechnego — ruchu wyzwolenia kobiet spod dominacji mężczyzny również Kościół został

tragedią losową. Ezerawy — w dialogu seksualnym mogą być planowane — w formie samego treningu — duchowego, dla pogłębienia miłości, dla udoskonalenia etycznej sprawności, samowładnia” (zob. „Chrześcijaństwo w świecie”, 1980, nr 86, s. 95).

Jednakże nie problemy związane z „pigulka”, prokreacja czy seksem stanowią oś sporów i kontrowersji w Kościele katolickim, jeśli idzie o zakres upodmiotowienia kobiet. Albowiem katolicy — w tym także kobiety — postępują tak, jak nakazuje im zdrowy rozsądek i ludzkie sumienie, nie bacząc zbyt na dyrektywy Urzędu Nauczycielskiego Kościoła.

Zasadniczym przedmiotem sporu jest obecnie sprawa święceń kapłańskich kobiet, na które Kościół nie chce wyrazić zgody, tradycyjnie uzasadniając swoje stanowisko wersetami z pierwszego listu do Koryntian, gdzie powiedziano: „niewiasty niech milczą w

zakazie wyżywiania kobiet, bądź też wykazać, że w Kościele pierwotnym istniały przypadki udzielania kobietom nie tylko święceń presbiteriatu, ale i biskupstwa.

Dowód potwierdzający tę ostatnią możliwość opublikowała w 1985 r. Dorothy Irvin (z katolickiego St. Catharin College w St. Paul — Minnesota) w angielskim czasopiśmie „The Witness”, ujawniając, iż istnieją mozaiki, malowidła ściennie i napisy w katakumbach i świątyniach wczesnochrześcijańskich, które potwierdzają dotychczasowe przypuszczenia co do pełnienia w pierwszych wiekach chrześcijaństwa funkcji kapłańskich przez kobiety. D. Irvin wśród dowodów ukazała także mozaikę lok. V—X wiek, pochodzącą z kościoła Praxedis w Rzymie, na której widnieje głowa kobiety z opaską na czole. Na opasce zaś znajduje się napis: „Theodora Episcopa” (Teodora biskup).

Kobiety w Kościele

Zbigniew Stachowski

zmuszony do reinterpretacji swojego stanowiska w tym względzie. Odwołano się więc do Marii jako prawzorcy kobiet oraz do Chrystusa, który darzył szacunkiem wszystkie niewiasty, nawet nierządnicę. Obecna jednak pozycja kobiety w Kościele — aczkolwiek stopniowo dowartościowywana — przysługująca równa prawa mężczyznom i kobietom jako osobom ludzkim (nie zaś jednostkom), eksponuje zasadniczo jej funkcję prokreacyjną. Dlatego też jakkolwiek próbe spędzenia piodu Sobór Watykański II w konstytucji „Gaudium et spes” (O Kościele w świecie współczesnym) określił jako „okrutne przestępstwo”, zaś nowy Kodeks Prawa Kanonicznego przewiduje za ten czyn nawet ekskomunikę.

Sprawą zapewne ważną dla współczesnej kobiety deklarującej swoją przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego jest niewątpliwie wachlarz spraw wynikających z encykliki Pawła VI „Humanae vitae” (25 lipca 1968), a który utrzymany został w mocy przez Jana Pawła II. Wszelkie sprzeniewierzenie się zawartym tam wymogom — pomimo licznych protestów większości wierzących — traktuje się jako nie odpowiadające chrześcijańskiej koncepcji kobiety i uważa się, iż bliższe jest „koncepcji neopogańskiej”.

Swoisty wykład tej encykliki dał w 1980 r. ks. Jerzy Bajda, który, wychodząc z założenia, że każdy akt małżeński nacełowany jest na prokreację, uznał antykoncepcję za „przejaw bezradności wobec chaosu etycznego w życiu małżonków, niezdolnych do odpowiedzialności i samostanowienia”. Jednakże bardziej interesujące są rozważania ks. Bajdy na temat niemożności — bądź ze względów zdrowotnych, bądź ze względów ekonomicznych — pomnażania rodziny. Wówczas autor rozstrzyga, że małżonkowie „mają obowiązek wyrażać swoją miłość małżeńską i rodzicielską w formie milczenia seksualnego, okresowo lub nawet w sposób ciągły przez okres nieokreślony. Milczenie seksualne — twierdzi moralista katolicki — jest normalną dla człowieka, równoważną formą życia pleiowego, a nie żadną

Kościół, bo nie pozwala się im mówić, ale mając być poddaniymi, jak i Zakon mówi. A jeśli się czego chcą nauczyć, w domu niech mężów swoich pytają. Bo nie przystoi niewiście mówić w Kościele” (1 Kor 14, 34—35). Wprawdzie kobiety powoli zaczynają pełnić coraz więcej rozmaitych funkcji w strukturach Kościoła, jednak nie zmienia to faktu, iż w Kościele katolickim w dalszym ciągu są to struktury — klerikalno-patriarchalne, zaś Kościół jest instytucją rządzoną przez mężczyzn.

Tak zwana teologia feministyczna, w swym nurcie krytyczno-feministycznym, odwołującym się do teologii wyzwolenia, głosi stosunkowo radykalny program, który występuje przeciwko androcentryzmowi (androcentryzm — uprzywilejowanie rodzaju męskiego, mające charakter powszechny) w Kościele i dotychczasowemu statusowi kobiety jako siły roboczej i służebnej w stosunku do kapłanów.

Przedstawicielka tego nurtu, teolog E. Schüssler Fiorenza z uniwersytetu w Notre Dame (stan Indiana w USA), głosi nie tylko protest przeciwko katolicyzmowi jako religii patriarchalnej, ale oskarża ją o to, że „utrwała i uprątnością gwałtu”, jaki dokonuje się w Kościele i w społeczeństwie na kobiecie. Ta kobieta-teolog powiada także, iż „cierpienie i udręki, które liturgia patriarchalna i androcentryczny język religijny zadaje kobiecie, mogą stać się zrozumiałe dopiero wówczas, gdy teologowie i sprawujący obrzędy uświadomią sobie, jak dalece kobieta jest odarta z cech ludzkości dzięki patriarchalnemu systemowi naszego społeczeństwa i naszego Kościoła”.

Protest kobiet (zwłaszcza Amerykanki) wobec odmowy udzielania im święceń kapłańskich w Kościele katolickim przybiera rozmaite formy. Głoszone są przez te kobiety nie tylko hasła: „widziałam Boga, ona była czarna”, czy też „wierzymy w Boga, ona nas wesprze”, ale również prowadzone są badania naukowe, które mają bądź uzasadnić, iż zarówno w Biblii, jak i w Tradycji brak jest jakiegokolwiek danych świadczących o

Zdjęcie Teodory można nabyć w przedstonku tego kościoła, lecz napis na nim jest zatuszowany.

Za najbardziej spektakularny wyraz protestu należy jednak uznać wycieczkę Amerykanki, p. Baby Burke, dziś 44-letniej matki czterech córek, która w trakcie trwania II Nadzwyczajnego Synodu Biskupów w Rzymie, poświęconego podsumowaniu wyników Vaticanum II, w dniu 4 grudnia 1985 r. — mając szaty liturgiczne, stulę, kielich mszalny i komunikanty — podjęła częściowo udaną próbę odprawienia mszy przy głównym ołtarzu w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Fakt ten prasa włoska uznała za wielki skandal w Kościele, natomiast reprezentantki ruchu „teolożek” spowodowały w ten sposób uczestników synodu do tego, że w dokumencie końcowym synodu znalazły się słowa: „w ostatnich latach często podnoszona kwestia sprawowania misji kobiet w Kościele. Kościół powinien się starać, żeby kobiety były w nim obecne, aby mogły wykorzystywać swoje dary w jego służbie i mieć większy udział w różnych dziedzinach jego apostolstwa. Duszpasterze niech przyjmą z wdzięcznością i popierają współpracę kobiet w dziele Kościoła”.

W trakcie kolejnej sesji synodu biskupów, która odbędzie się jesienią tego roku (1—30 października) w Rzymie (poświęcona roli ludzi świętych w Kościele), niewątpliwie problem święceń kapłańskich kobiet należeć będzie do najtrudniejszych, choć z góry odrzuconych spraw. Kościoły protestanckie decyzje w tym względzie podjęły już dawno, a Kościół katolicki w dalszym ciągu mówi — NIE.

Włoszka Paola Gaiotti — rzeczniczka upodmiotowienia kobiety w Kościele — uważa, że „żadne z teologicznych wyjaśnień dotyczących odsunięcia kobiet od kapłaństwa nie jest przekonujące. Wcześniej czy później Duch Święty powinien zdecydować się nas oświecić. Nie chciałabym jednak, by droga do kapłaństwa kobiet otworzyła się dopiero wtedy, gdy zabraknie powołań wśród mężczyzn”.

Listy do KAMENY

„ZWIĄZEK WETERANÓW”

ARTYKUŁ MACIEJA PODGÓRSKIEGO „Związek weteranów pod wezwaniem św. Stachury” nie tylko prowokuje, ale po prostu nawołuje

heroldów do publicznej polemiki. „Kwadrans szczerości” Podgórskiego zaczyna się z rozmachem, z prawdziwie romantyczną pochurnością — czym „spowiedź dziecięcia wieku” czy „bohatera swoich czasów”. Autor naprawdę próbuje się „odstąpić”, z czym mało kiedy mamy do czynienia w druku i co natychmiast budzi drżącego czytelnika. I jak to często bywa, estetyczny sceptyk okazuje się wyborowym stylistą, mistrzem i rzeczniczką dobrej pisani, czyli operatywnego działania na papierze.

Ja jestem dyskutantem dość leniwym, więc ograniczę się do dwóch wątków pozornie marginalnych. Będzie to raczej krótka reklamówka niż kwadrans szczerości. Oto sprawa pierwsza. Literatura ma swoich świętych i swoje własne demony. Zajmują się

tylko hagiografia i demonologia. Gdy tylko racje swoje wypowiedzieli hagiografowie, musiał po prostu musiał też nawiązać ten problem rzeczniczek demonologii. Taki jest stax wszechrzeczy. Trzeba piekła i nieba poruszyć, żeby na tej ziemi dojść do nirwany, zneutralizować przeciwności. Ale nie to jest najważniejsze. Bardziej interesująca wydaje mi się druga sprawa.

Dotychczas w Lublinie z wielką dziennikarską pasją i znajomością rzeczy dyskutowano o teatrze, choć w teatrze nie działo się nic specjalnie ciekawego, a, zawodowcy z mniejszą czy większą poprawnością uproszali swój ogródek, z awangardzistów „awangardzą” z pozorowaną najczęstszą pasją tworzenia. Sama polemika jednak była ciekawa i nie pozorowana. Tym

czasem odwrotnie dzieje się z literaturą, która właśnie przeżywa w Lublinie swój dobry okres, są twórcy krajowej rangi, są ambitne pisma literackie, a nie ma żadnych polemik środowiskowych, w związku z czym rodzi się podejrzenie, że nasze środowisko równie dobrze mogłoby prosperować na Kłajcyck. Podgórski po prostu z właściwą mu pasją próbuje rozruszać literatów, i to nie tylko „tutejszych”. Próbuje ich „podpuścić”, jak to się mówi. No i prawidłowo. Muzy to stare intrygantki, bardzo lubią skandale w rodzinie.

Janusz Olczak
Lublin

Życiorys

Lubelskie sylwetki

nie na jedno życie

ROZMOWA Z IRENĄ SZYCHOWĄ

— Od trzydziestu kilku lat jesteś związana z lubelskim życiem kulturalnym; swoją obecność w kręgu tego wszystkiego, co się ciekawego i wartościowego dzieje w Lublinie, stała się wręcz przystojową. O półowie może lepiej znany jest ten okres, gdy w latach 1956—1978, jeszcze jako Irena Szczepowska, była dyrektorem Miejskiego, a następnie — Wojewódzkiego Domu Kultury na Zamku w Lublinie. Rodziły się tam wówczas najciekawsze inicjatywy kulturalne, gromadził się najbardziej interesujący ludzki i oni także później, gdy rozeszli się po kraju, ponieśli ze sobą pewien określony, „zamkowy” styl myślenia i charakterystyczne dla „tamtego” Zamku — podejście do pracy.

Myślę, że Zamek uczył przede wszystkim zaangażowania w to, co się robi, oraz otwartości na świat. I cieszę się, że ja także mam za sobą to szkole... Ale przecież okres „zamkowy” to tylko jeden z rozdziałów twojej działalności. Przedtem były lata pracy w bibliotece, w lubelskim Liceum Sztuk Plastycznych, w związkach zawodowych, w Wydziale Kultury Prez. WRN. A po odejściu z Wojewódzkiego Domu Kultury — sześć lat pracy na kierowniczym stanowisku w lubelskim oddziale „Ruchu”, gdzie zajmowałaś się sprawami upowszechniania kultury.

Dzisiaj, choć nie pracujesz, już „na etacie”, nadal działasz. Rada Mieszkańców na Starym Mieście, Komitet Przeciwnikoholowy, różne inicjatywy kulturalne, bardzo osobiste zaangażowanie się w pomoc ludziom, których los doświadcza... Irena, ty właściwie nie mogłabyś chyba żyć bez działalności!

Kilka lat temu zostałaś wybrana Lublinianką Roku, a ja, gdybym mógł, nadałbym ci tytuł Lublinianki Czterdziestolecia... Powiedz, z czego erodziła się ta twoja społecznikowska pasja? I zdradź wreszcie tajemnicę: dlaczego w 1967 roku znalazłaś się akurat w Lublinie, po przebyciu od niego jedną z najdłuższych i najbardziej „okrutnych” dróg. Z rodzinnego Wołynia, poprzez Kazachstan, Irak, Palestynę i dalej, włączając jako żołnierz II Korpusu Polskiego, poprzez Italię a następnie Szkocję, aż wreszcie... polską Gdynię zjawiłaś się tu, w wieku 22 lat, i w stopniu sierżanta, dowódcy plutonu kobiecej samochodowej kompanii transportowej...

— No dobrze, ale od czego zacząć? Może od tego, że zawsze były kłopoty z moją „sylwetką”... Kilku artystów próbowało namalować mój portret, nie udało się. To, co przesiąka w życiu, wystarczyłoby na pięć życiorysów, trudno wszystko zmieścić w jednym artykule, czy wywiadzie. Kłopoty miałem moim rodzicom z moją niezależną na-

turą, a nie mniejsze — zwierzchnicy; nie tylko w wojsku, ale i ci „z cywila”, już tutaj, w kraju...

— To jest taka typowa natura kobiety z dawnych Kresów?

— Czy ja wiem? Natomiast z całą pewnością to ja pochodzę z nietypowej rodziny. A w dodatku z nietypowego — wykształconego, zubożonego, kresowego ziemiaństwa. Mój ojciec, Waław Szczepowski, był inżynierem rolnikiem, w młodości ukończył słynny Instytut Rolny w Puławach. Matka, Janina z Mianowskich (stryjeczna wnuczka znanego działacza społecznego Józefa Mianowskiego; jego imię nosi jedna z ulic Warszawy, a jego popiersie znajduje się w Wilanowie), skończyła najpierw konserwatorium muzyczne w Kijowie, a następnie sędne kursy ogrodnicze u Hozera pod Warszawą. No i, zamiast rozglądać się za „szerokimi widokami” życiowymi, oboje rodzice zaczęli gospodarzyć na niewielkim majątku Solowin w gminie Rożyszcze, gdzieś między Luckiem a Kowlem. Ojciec cieszył się uznaniem okolicznych mieszkańców; m.in. dlatego, że doprowadził do powstania spółdzielczej mleczarni, krzewił wśród chłopów kulturę rolniczą. Jak w 1940 r. przystąpiono na naszych terenach do kolektywizacji, chłopcy zaproponowali, aby ojciec został przewodniczącym kolchozu... Ale to już czasy późniejsze.

Byłam najmłodszą z trojga dzieci. Najstarszy był brat, Jerzy; urodził się w 1915 r., potem przyszła w 1919 r. moja starsza siostra, Maria — późniejsza dziennikarka i literatka, znana ci przecież dobrze, Maruta Szczepowska; no i wreszcie, w 1925 r. — ja. Rodzice uważali, że musimy od małego przyzwyczajać się do pracy. Jak miałam osiem lat, umiałam już doć krowy, a w wieku lat dziewięciu — potrafiłam prowadzić traktor, naszego powolnego, dostojnie pykającego „Lanza”... A więc wychowywano nas w sposób raczej nietypowy dla dzieci z mojego kręgu społecznego. Co mi się później zresztą stokrotnie opłaciło. I wówczas, gdy jako kilkunastoletnia

dziewczynka pasłam i dołmam kazachskie krowy, i na początku lat pięćdziesiątych, gdy jeden z moich lubelskich zwierzchników „od kultury”, chcąc mi dać tak zwaną „nauczkę” wysłał mnie na „pracę społeczną” przy żniwach w jednej z lubelskich spółdzielni produkcyjnych. Nie wiedział, biedak, że sprawia mi największą przyjemność...

— Więc społecznikowską naturę wzięłaś po pradziadku Mianowskim?

— Przede wszystkim wyniosłam ją z atmosfery rodzinnego domu. Ach, jeszcze kilka słów na temat nietypowości moich rodziców! Zdarzyła się kiedyś niezwykle komiczna sytuacja, właśnie wynikająca z owej ich inności. Otóż moi rodzice nie zaliczali się do osób nadzwyczaj pobożnych. I to do tego stopnia, że — zajęci pracami gospodarskimi — przypomnieli sobie o konieczności ochrzczenia dzieci dopiero wówczas, gdy stało się to już zupełnie niezbędne ze względu na formalności związane z pójściem Jerzego i Maruty „do szkół” — jak się wówczas mówiło. W ten oto sposób ochrzczono „hurtem” całą naszą trójkę równocześnie. Jerzy miał wówczas lat trzynaście, Maruta — dziewięć, a ja trzy. I teraz następuje finał: otóż po ochrzczeniu mnie, podczas odbywającego się w domu okolicznościowego przyjęcia, podeszłam do księdza z kieliszkiem — wcale nie pustym! — i zaproponowałam wzorem „starszych osób”: „Księżu proboszczu, może się napijemy?”

— I... co?!

— Nno... nie takiego szczególnego: wyrosłam w przyszłości na działacza przeciwnikoholowego... Nawiasem mówiąc, byłam nieznośnym duchem w tej rodzinie. Gdy miałam kilka lat, obrażwszy się na matkę, postanowiłam opuścić dom na zawsze i pójść w świat. I mogło to się dla mnie fatalnie skończyć. Zabrnęłam bowiem tak daleko w olbrzymi, wielohektarowy łan pszenicy, i w końcu tak opadłam z sił, że gdyby nasza kotka — niczym

„najlepszy pies myśliwski” — nie zaprowadziła matki prosto do miejsca, gdzie się znajdowałam, może bym tam umarła z głodu i z wyczerpania. Od tego czasu kocham koty i kot to dla mnie Bardzo Ważna Osoba.

Jeszcze ci opowiem o perypetiach związanych z grą w karty. Otóż w związku z wyjazdem Jerzego do gimnazjum nasza rodzinna „czwórka brydżowa” została zdekompletowana. No więc rodzice orzekli, że tylko moja osoba może zażegnać fatalną sytuację. Nauczono mnie zasad tej pięknej, skądinąd, gry i odtąd grywałam w Solowinie wieczorami przy jednym stole: ojciec, matka, Maruta i ja. Traktowałam to jako rzecz normalną, więc nie mogłam zrozumieć reakcji mojej wychowawczyni, siostry zakonnej w klasztornej szkole u Niepokalanek w Maciejowie, kiedy zapytana: co robiłam podczas ferii świątecznych w rodzinnym domu, oświadczyłam szczerze (a miałam wówczas dwanaście lat): „Jak żeśmy w Trzech Króli siedli do brydża o szóstej po południu, to wstałmy od kart — o czwartej rano”. Nawiasem mówiąc, Niepokalanek to była tylko jedna z ośmiu szkół podstawowych, przez jakie „przewinęłam się” ze względu na moją „nieprzeciętną” osobowość...

— Opowiedz coś jeszcze o stronach rodzinnych.

— Solowin, Rożyszcze, to był zaczerowany świat... Już dzisiaj takich miejsc, o takiej atmosferze, osadzonych w takim „klimacie”, nie znajdzie się ze świecą...

Nasze „gminne” miasteczko Rożyszcze było jakby wyjęte z obrazów Chagalla, jak — z opowiadań Bruno Schulza. Zagubione wśród wołyńskich czarnoziemów, przysiadłe w pobliżu leniwie płynącego Styru, nad którym w czasie I wojny światowej toczyły się zacięte walki — i potem długo jeszcze cała okolica poryta była okopami — miało Rożyszcze trzy i pół tysiąca mieszkańców, w tym osiemdziesiąt procent Żydów. W czasie włosennych rozrządów na głównej ulicy konie grzęzły po brzuchy. A nad drzwiami sklepików, mieszczących się w starych, drewnianych domach, widniały niezapomniane szyldy: „Gołenie i szczyżenie”, albo: „Gołdzie i inne delikatesy”... Na każdym kontynencie — a „zaliczyłam” ich w swoim życiu kilka — musiałam prędzej czy później spotkać kogoś z Rożyszcz. Najpiękniejsze z owych spotkań było w 1942 r. na granicy Palestyny. Miałam wówczas siedemnaście lat, na sobie mundur z podoficerskimi dystynkcjami; siedziałam samotnie za kierownicą wojskowego samochodu. Strasznie mi się chciało pić, więc kiedy zobaczyłam kiosk z napojami, taki całkiem samotny kiosk stojący przy drodze, zatrzymałam wóz, wysiadłam i zaczynam coś dukać, trochę po francusku, trochę po angielsku. A sprzedawca odzywa się do mnie w rodzinnym języku; choć i bardzo, bardzo, charakterystycznym akcentem: „Co się pani sili na obcy język, pani tyż z tej naszej kochanej

Mizéria w środku miasta

NAJPIERW jest radość, a potem ślepną okna i jeden po drugim pustoszą domy. Ludzie ładują na furmanki to, czego w nowych mieszkaniach wstawić już niepodobna: framugi, witryny, całe szyby, drzwi i drewniane stopnie schodów z nieuchłym jeszcze tupotem nóg.

A progłi starych domów? Nikt już ich nie zabiera dla potomnych, co najwyżej dla podparcia kurników w nieodległych od miasta gospodarstwach. Gołębniki tylko wstawiane są na sąsiedzkie, zamieszkałe jeszcze podwórka.

Wynoszenie sprzętów i rzeczy, resz-

tek z domów swoich i cudzych, porzucanie w niepamięć i bezużyteczność, to zwykły rytuał opuszczania tych części miasta, w których Chronos-Czas wygrza dziurę, a dziura ta staje się potrzebna, by zbudować na niej nowe.

Z kilkunastu domów w prostokącie ulic Armii Czerwonej, Łęczyńskiej i pomniejszych, ulicznych jakby przemyków — Chełmskiej i Podlaskiej — wyprowadza się 49 rodzin. Niewielki to, jak na razie, fragment starych Bronowic, które ustąpią placu na poszerzenie krzyżujących się tu arterii, i niewielka to, w stosunku do oczekujących na poprawę warunków mieszkaniowych, grupka bronowiczan.

Z kilku jednak stron odsłonił się w całej swej okazałej mizerii slumsowaty środek miasta, którego już żadna

zielen, ani tablice reklamowe nie będą w stanie obronić przed krytycznym spojrzeniem przejeżdżających tędy i przechodzących. Ba, żeby tylko lublinian...

Jakby nie dowierając planom przebudowy tej części miasta, dwał moi przypadkowi rozmówcy z ulicy Podlaskiej zupełnie Innemu, zgola irracjonalnemu, faktowi przypisali ów zwiasztan przemian.

— Nic by się tu nie ruszyło — powiedzieli — gdyby nie przejeżdżał tędy Mieczysław Rakowski. Utknął, o tu — pokazuja — na skrzyżowaniu Armii Czerwonej i Łęczyńskiej. Stał w „korku” 20 minut i się wkurzył — tak powiedzieli — na ten b... no, nie, na tę ciąsnotę — mitygowali dosłowność moim rozmówcy — i to przypięszyło wykwaterowania! Pani! — do-

Marta Denys

wodzili dalej — 25 lat temu, jak mieliśmy się stąd wyprowadzić, za kawalerów jeszcze! I co? Stare my dzie chłopcy, dziecięta. Ale już na Węglinie, w blokach, dostaliśmy przydziały.

— A co będzie z gołębiami, czy tak, jak na „Alternatywy 4”? — nawiązuje do emitowanego niedawno w TV serialu.

— No, nie, na razie odda się sąsiadowi, i coś potem wymyśli.

Z przepalonych kominów wlatuje dym, ze skieconych byle jak klatek — biało-rude stadka. Gołębista to dzielnica. Każde prawie podwórko przy Podlaskiej, Chełmskiej, Zgodnej, Ski-bińskiej, Hrubieszowskiej grucha i trzepocze. Niepiękne tu gołębniki, lecz prawdziwa ku tym ptakom słabość. Jak również ku innym, niestety, mniej chwalebnyim zajęciom i rozrywkom. Gdyby tak ktoś powycinał z miejscowej prasy notatki o wszystkim tym, co wydarzyło się w tej części starych Bronowic, antologia zdarzeń i wypadków złożyłaby się na dość opasły tom, z gatunku sensacyjno-obyczajowego.

A jakie zyciorysy i wydarzenia u-niósłby stąd przed zębem czasu kronikarz?

Pani Aleksandra Urban ma już 85 lat. Drewniany dom przy Łęczyńskiej 10 — może tyle samo, albo i więcej? W jednej izdebce tego domu pani Aleksandra przemieszkała 33 zimy.

Polski? Okazało się, że wujek tego człowieka był rabinem w Rożyszcach. I on sam też przyjechał z Polski. Miał w domu ogromną bibliotekę; pięć tysięcy polskich książek, które ze sobą przywoził ze „starego kraju”, a także sprowadzał je z Polski w latach trzydziestych. Potem, gdy zaprzyjaźniliśmy się, korzystałam z owej biblioteki; tam zaczęłam czytać po raz pierwszy w życiu książki Boya...

— Maruta też była w wojsku?
— Nie. Maruta, gdy zaczęła się mobilizacja, była w trakcie szukania pracy w jednym z kazachskich miast. I wtedy otworzyła się możliwość prowadzenia radiowych audycji dla Polaków rozsypanych po Związku Radzieckim. Maruta, która już przed wojną zaczęła studiować dziennikarstwo w Warszawie, zajęła się tu radiową pracą dziennikarską. A mnie, niespełna siedemnastoletniej, matka powiedziała: „Idź do wojska, to twój obowiązek Polki. Co dalej — to się zobaczy, w końcu się jakoś przecię wszyscy spotkamy”. Spotkaliśmy się ostatecznie po pięciu latach; tyle że ja przyjechałam do Polski z Zachodu, a one ze Wschodu. Ojciec pozostał na emigracji w Kazachstanie. Jerzy — o czym dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie — został zamordowany w jeńskim obozie dla oficerów. Był prawnikiem i ostatnim kawalerzystą w naszej rodzinie.

— Jak tego słucham, to mi się przypomina „Wielbłąd w stepie” Jerzego Krzyżanowicza.

— Coś w tym jest. No, zresztą oboje, w bardzo młodych latach, poznaliśmy Kazachstan. A potem, po wojnie, spotkałam się na tym samym roku anglistyki, na KUL-u w Lublinie. I znowu, w kilkadziesiąt lat później, gdy już ukazał się „Wielbłąd” i Jurek przyjechał na wieczór autorski do Lublina, brał mnie „na świadka”, że to „co pisał w tej książce, było prawdą, i również że dla nas, wyrostków, Kazachstan potrafił być także piękny, gdy przyszła wiosna i lato, gdy stepy pokryły się kwiatami... Jeszcze pamiętam, że kazachskie krowy są przy dojeniu „twardsze” od wołyńskich i że mają bardziej tłuste mleko. I to także: jak siedzimy zagubieni wśród tych stepów kazachskich, całą naszą rodziną „brydżową czwórka” i, oczywiście, gramy w karty przywiezione z Solowina.

— Jak z twoją „rogatą” naturą znosiłaś wojsko?

— Może to dziwne, ale zupełnie nie. I chyba tutaj warto powrócić do twojego pytania, kiedy się objawiły moje zainteresowania społecznikowskie? Otóż — właśnie w wojsku i może w sposób trochę „określny”. Najpierw — zanim trafiłam do 317 kompanii transportowej Pomocniczej Służby Kobiet (tak brzmiała oficjalna nazwa, bo popularnie to nas nazywano „pestkami” albo „drajwerkami”, od angielskiego słowa: „driver” — kierowca) — służyłam w kompanii wartowniczej i tam miałam bardzo nie dobrą komendantkę plutonu. Ona powiedziała kiedyś, że jej kaktus na dloni wyróżnia, zanim „takie nic”, jak ja, zdoła zrobić kurs kierowców sa-

mochoodowych. To mnie zdopingowało. Coś się we mnie przełamało: powiedziałam sobie, że ja nie tylko skończę kurs, nie tylko dostanę się do kompanii transportowej, nie tylko zostanę dowódcą plutonu, jak ona, ale jeszcze potrafię ten pluton zupełnie inaczej, lepiej, prowadzić. I że na pewno więcej potrafię zrobić dobrego, nie pędząc rozkazami dziewczyny do roboty, ale gdy wytworzy się taka atmosfera w pododdziale, kiedy i ja i moje podkomendne będziemy razem służyć wspólnej, nadrzędnej sprawie. I że moim celem jest przekonać je do tego. A nie straszyć karami i „stawiać na bacność” przy byle okazji. Właśnie chyba na tym zasadza się, według mnie, społecznikostwo: w umiejętny i mądry sposób służyć jakiemuś ważnemu, nadrzędnemu celowi.

— A dlaczego prosto z wojska trafiłaś na uniwersytet w Lublinie? Przecież po zakończeniu wojny zamieszkałaś się już w Szkocji; co ty w ogóle miałaś wspólnego właśnie z Lublinem?

— Bardzo dużo. Przede wszystkim tutaj przed wojną mieszkała moja babcia, Maria Mianowska. Miała, na rogu ulicy Wieniawskiej i Króla Leszczyńskiego, dom. Często odwiedzaliśmy ją, przyjeżdżając z Wołynia, tu mieszkał Jerzy, kiedy chodził w Lublinie do gimnazjum, a następnie na prawo, na KUL. Tu, u babci, mieszkała Maruta, gdy uczęszczała do lubelskiego żeńskiego gimnazjum Arciszowej. I wreszcie ja także, w latach szkolnych, krótko „zatrzymałam” o lubelską szkołę i o „stancję” w domu babci Mianowskiej. W Lublinie, będąc wtedy w drugiej klasie, zablądziłam po raz pierwszy, i chyba ostatni, w Saskim Ogrodzie. A idąc na mszę do kościoła Garnizonowego, zostałam na Alejach Racławickich przejechana przez samochód co było wypadkiem tym bardziej niezwykłym, że samochodów w Lublinie było wówczas bardzo mało. Wtedy właśnie, jako „bohaterka” wypadku, dostałam się po raz pierwszy w życiu na łamy lubelskiej prasy. To był rok 1933. A w trzynastcie lat później — wyobraź sobie — spacerując z przyjaciółką po londyńskim Hyde Parku, i nagle pojawia mi się w pamięci Saski Ogród. I mówię do niej: „Oho, lubelski Ogród Saski jest piękniejszy i rozleglejszy od tego tutaj...”. No, jak wróciłam do Lublina, szybko skorygowałam swoje wyobrażenia.

— O parkach?

— Także i o parkach... Ale nie o to mi chodzi. Chciałam ci po prostu powiedzieć, że to przypomnienie lubelskiego parku tam, w Londynie, może naszło mnie z powodu jakiegoś przecucia. Bo mama razem z Marutą znalazły się, po powrocie ze Związku Radzieckiego, właśnie w Lublinie i wysłana przez nie z Lublina kartka pocztowa odnalazła mnie w Szkocji. I to była, nawiasem mówiąc, pierwsza kartka, jaką dostałam od nich od czasu wstąpienia do wojska. Pisały, żebym jak najszybciej wracała do kraju. W ten oto sposób 31 maja 1947 r. wysiadłam w Gdyni ze statku, który przyplłynął z Anglii, a na pierw-

szym oficjalnym dokumencie, jaki otrzymałam w biurze imigracyjnym, napisano m.in.: „Udaje się do Lublina”. Poszłam na studia na anglistykę. Maruta — studiowała polonistykę. Była ukochaną studentką profesora Kleinera...

Domu babci już nie ma. Na jego miejscu wznosi się wielopiętrowy biurowiec, wybudowany przed kilku laty. Ale został jeszcze kasztan rosnący na rogu Wieniawskiej i Króla Leszczyńskiego, przed frontem wieżowca. Ten kasztan ma równo pięćdziesiąt trzy lata. Wiem to stąd, że posadziła go w 1934 r. moja siostra Maruta, piętnastoletnia wówczas uczennica gimnazjum Arciszowej. Maruta już nie ma, umarła w 1985 r. Ten kasztan to jest mój najpiękniejszy, wymierny, wciąż żywy związek z Lublinem mojego dzieciństwa.

— Pierwszą twoją lubelską pracą...

— Była Biblioteka Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, mieszcząca się przy ulicy Kapucyńskiej, dzisiejsza — Osterwy. Był to rok 1948. Moją zwierzchniczką była pani Wanda Papiewska. Wspaniała postać, oddana, prawdziwa działaczka społeczna. Siostra Jana Hempla, który zresztą był kiedyś założycielem tej właśnie biblioteki. Wanda Papiewska była dla mnie, i zawsze pozostanie, postacią na miarę Stefanii Sempołowskiej. To właśnie dopiero ona nauczyła mnie naprawdę, co to znaczy być społecznikiem. Jej to przede wszystkim zawdzięczam wszystko, co później robiłam, i chyba, nadal robię...

— A w jaki sposób „trafiłaś” w 1956 r. na Zamek, na stanowisko dyrektora Lubelskiego Domu Kultury?

— A, tu już „wymyślił” mnie popoł: Wisia Grossman (dzisiaj już nieżyjąca), w owych czasach aktorka Teatru im. Osterwy, bardzo oddana sprawom kultury działaczka społeczna, a także przez pewien czas kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury; również redaktor Kazimierz Spólnicki, w niedalekiej przyszłości „szalejący dziennikarz” powstałego w 1957 r. „Kuriera Lubelskiego”. Jakoś tam przekonali kogo trzeba, że „nadaje się”. No — i się stało!

— I oto wróciłam do punktu wyjścia, do początków LDK na Zamku, gdzie zaczęła się „samo dobre” popołudniowe lubelskie życie kulturalne. A teraz, na zakończenie, powiedz: co cie najbardziej fascynuje w życiu?

— Pokonywanie trudności. Fascynuje mnie służenie jakiemuś celowi. Nie: bycie kimś, posiadanie czegoś, nie: rządzenie. Uważam, że — jak powiada Gałczyński w wierszu „Mali pomocnicy”, który bardzo lubię — i Kopernik, który „porusza Ziemię”, i jego krawiec, który „nitkę nawleka”, razem, każdy na swój sposób, służą jakiejś wielkiej idei, jakiemuś celowi. W tych słowach upatruję motto swego życia i swego działania: ważną rzeczą jest, kiedy wspólnie, i ci więksi, i ci mniejsi, robimy razem coś dobrego i ważnego.

— Czy wiele twoich życiowych marzeń się spełniło?

— Spełniły się, jak dotąd, wszystkie moje ważne marzenia. Choć w każ-



Fot. Andrzej Polakowski

dym z tych spełnień tkwi zawsze pewna „pułapka”.

W dzieciństwie marzyłam, aby zobaczyć dalekie kraje. Marzenie to spełniło się, ale za straszna ceną: ogromnej nostalgii za krajem.

W wojsku marzyłam, żeby mieć pod swoją komendą pluton. I miałam go. Ale (jak mawiała przyjaciółka mojej matki: „Jestem przeciwna dojeniu cieląt!”) dostałam dowództwo w swoje ręce na pewno zbyt wcześnie: zbyt mało, mimo wszystko, byłam do tego przygotowana.

W dużo późniejszych latach, już lubelskich, miałam wielkie marzenie: mieszkać na Starym Mieście w Lublinie. I to się też spełniło. A jaka „pułapka” wiąże się z tym ostatnim marzeniem? A taka, że mam pełną świadomość, iż nie dożyję radości obejrzenia Starego Miasta w pełni już odbudowanego...

I jeszcze chcę ci powiedzieć, już na sam koniec naszej rozmowy: zastanawiając się nad swoim życiem, nad tym wszystkim, co mnie dobrego i złego spotkało, doszłam do wniosku, że każdy ludzki los posiada swoją określoną konstrukcję. (To znaczy na przykład, że coś, co mnie się przydarzy, nie mogłoby przydarzyć się np. akurat tobie.) I niezmiernie ważną rzeczą jest, żeby rozumieć konstrukcję swojego losu. Ja na przykład uważam, że konstrukcją mojego losu jest: „być krótko, i iść dalej”. Iś naprzód i nie upierać się „na siłę” przy sprawach, które nie są dla człowieka najistotniejsze.

Rozmawiał:
Miroslaw Derecki



Rys. Józef Tartłowski

Poczerniały już portrety, spłowił kilimek z orientalną sceną targową. Od 46 lat pani Aleksandra jest wdową, a dzieci już dawno poszły na swoje. Teraz kolej na nią, by wreszcie zamieszkała w godziwych warunkach. Z parteru przeniesie się na dziewiąte piętro w bloku przy ulicy Okrzei i zdziwi się, być może, dlaczego za oknem nie ma zieleni i szumu aut nie słychać? Bo, kiedy otwiera to swoje okienko w drewnianej izdebce, to jakby się lokciami opierała o dwie ulice — Łęczyńską i Podlaską.

Lata całe pracowała pani Aleksandra Urban w WZGS, jako konwojentka, potem w magazynach. Kiedy przychodziły wagony z nawozami, to

we dwoje trzeba było te 15 ton przynieść na plecach do składu.

Cóż z tej informacji kronikarzowi? Wszystko i wiele, bo w większości tak właśnie pisać się będą — pracą i latami — zyciorysy mieszkańców tych ulic. I lubelskim — najczęściej — rodowodem.

Albo tak: pani Sabina Kwinto w czasie wojny była łączniczką AK-owskiego oddziału „Pajaka”, operującego w okolicach Bychawy. Stamtąd przeprowadziła się do lasów Janowskich, a w domu przy Łęczyńskiej 8 kurowała rannych i chorych partyzantów. Do konspiracji przystąpiła jeszcze w miejscu poprzedniego swojego zamieszkania, w Życzynie-Tartaku ko-

ło Deblina. I tu kronikarz koniecznie musiałby dopisać: odznaczona m.in. Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta i innymi. Pani Sabina — drobna, siwowłosa, z dobrocią w oczach i uśmiechem. Jej mąż był Włochem. Najprawdziwszym, aczkolwiek osiadłym w Poznaniu. Tutaj, na Starych Bronowicach, uczył w szkole zawodowej biologii i coś z hydrologii — nie precyzuje bliżej pani Sabina, choć ją o to indaguje. Ona też pracowała w szkolnictwie. Dzisiaj jest sama, ma pierwszą grupę inwalidzka. Trochę będzie jej żal opuścić stary dom. Siła przyzwyczajenia.

Kiedy zapada zmrok, albo jeszcze dalej w noc, przy opuszczonych już domach migotają światła. Może i strach wyściubić nosa?

— Pani, szaber idzie na całego, jakby już w dzień nie można było zabrać sobie i wymontować z pustych i niezarych domów zbedną stolarke, deski i kafle — mówią zgorznięli i zaniepokojeni starobronowiczanie. — Niech już zabierają, co im trzeba, ale jak ludzie, za dnia, nie jak szakale.

Jeszcze jeden rys do obyczaju miejskiego.

Ulica Podlaska ma ładną perspektywę, szczególnie na kościelną wieżę, a po prawej stronie na bronowicki park.

Pan Romek i Rysiek — do niedawna mieszkańcy tej ulicy — zagadnięci o to, co pozostanie im we wspomnieniu po tak zwanych starych kątach, powiedzieli, że właśnie park i deski do tańca, zbite kiedyś i ułożone przed łazienką na Bronowickiej, eleganckiej niegdys ulicy. I kino objazdowe, do którego pilnie uczęszczali, kawalerami będąc. No i te gołębie.

Gdyby zasiadł tu Julien Mistral — malarz z „Dziedzictwa miłości” (znów serial TV) — miałby co malować. Domy, przybudówki, żółciejąca opoka ścian, rudziejące deski płotów i komórek. Istne szaleństwo światłocieni. No, właśnie — szaleństwo cieni, to nawet nieźle brzmi.

Mieszkańcy domków przy ulicy Podlaskiej nie mieli i nigdy już nie doczekają się kanalizacji. Ich sąsiedzi z przeciwnej strony uliczki, ale przypisani ulicy Łęczyńskiej, nie musieli czerpać wody ze studzienek ani ich na zimę motać szmatami, by nie zamarzyły.

Niecałe trzy metry szerokości uliczki i jaka „przepaść” cywilizacyjna! I gdyby tak zajrzało tu Kino „Oko”, zarejestrowane kamerą obrazy byłyby nie mniej wstrząsające, niż reportaż z życia indiańskich plemion!

Dokończenie na str. 11

Najstarszy z Pierwszym

● Popatrz, jak ten czas leci! Aniśmy się obejrżeli, a już minęło 30 lat. Ty jesteś pierwszym naczelnym, prowadzącym redakcję przez ćwierć wieku, a ja, niestety, najstarszym stażem dziennikarskim „Kuriera”. Wspólnie robiliśmy pierwszy numer tej gazety 30 lat temu, to były czasy, co? Ale nie wracamy do historii, ponieważ zamieszczałeś w „Kurierze” cały cykl ciekawych wspomnień. Powiedz mi natomiast, jak się czuje szef, który odchodzi po 25 latach i jak potem widzi gazetę?

— Pamiętasz, już wiele lat wcześniej jako dziennikarz pisałeś, a jednocześnie szef redakcji, odgrażałem się, że zamienię gabinet na pióro. Rok 1981 przyspieszył tę decyzję. Niemniej przyzwyczajenie, nawyk i sympatia były tak mocne, że długo jeszcze po przeniesieniu się do „Sztandaru”, kiedy rano jechałem do pracy, mijając Aleje Racławickie i dopiero na skrzyżowaniu przy 3 Maja uświadamiałem sobie, że pojechałem za daleko i zwracałem. Zresztą nie były to tylko moje przyzwyczajenia. Przez ostatnich pięć lat zdarzało mi się odbierać w „Sztandarze” telefony od czytelników „Kuriera”, którzy dziękowali lub ganili za najprzeróżniejsze kurierowe publikacje. Gdy tłumaczyłem, że zmieniłem „barwy klubowe”, więc to nie ten adres, słyszałem w odpowiedzi: — Wiemy, wiemy, ale nazwisko Gnot ciągle nam się kojarzy z „Kurierem”.

● Czy naprawdę wszystkie Ci się podoba w „Kurierze”?

— Powiem szczerze — nie wszystko. Mam nieraz sporo pretensji, ale nie czas dziś mówić o szczegółach. Gdy byłem naczelnym, mogłem ingerować i ingerowałem. Teraz, jako czytelnik, mogę się pokłócić i wanić.

● Tylko nas chwaliś... — Bo naprawdę jest za co. Podoba mi się na przykład, że „Kurier” w dalszym ciągu jest znakomitym organizatorem życia w mieście. Ot, na przykład kontynuowanie plebiscytu na Lubliniankę Roku. Albo pamiętasz naszą wielką akcję — wyposażamy szkoły 1000-letnia? Dział, nawiązując do tych tradycji, chce budować Szkołę Czytelników „Kuriera”. Porwaliście się na bardzo trudne, ale niezwykle ambitne zadanie.

● Z tego wniosek, że nigdy nie byłes obojętny czytelnikom „Kuriera”?

— Pierwszy naczelny to jak syn pierworodny. Sentyment zostaje na całe życie, nawet z pozycji czytelnika. Trudno powiedzieć, co mnie bardziej obchodzi: to, co było 25 lat temu, czy to, co się dzieje teraz. Ciężko się nie



To zdjęcie, niestety, można uznać za unikalne. W czasie tegorocznego mroźnego stycznia koksowników na ulicach Lublina nie widzieliśmy, a trzęsiliśmy się z zimna czekając na autobus lub trolejbus. Trzęsili się nawet ci, którzy przywykli korzystać z własnych (lub służbowych) środków lokomocji. Akumulatory odmówiły posłuszeństwa...
Fot. J. Trembecki

TAK TOCZY SIĘ ŚWIĄTEK

Lęki schyłkowego CZASU

„KIM jesteśmy, dokąd idziemy i o której godzinie jadem?” — pyta się młody człowiek w „Kurierze”.

Swemu miastu nie tylko na rocznicę

DRZEWKO OD KAŻDEGO

drzewka w kilka tygodni po pierwszym w życiu dzwonku. Być może, Lublin stałby się miastem naprawdę żywym i zielonym w każdym znaczeniu tych dwóch słów. Miastem, gdzie każdy obywatel ma coś swojego.

Wśród wielu imprez organizowanych z okazji 670-lecia Lublina nie obejdzie się z pewnością bez konkursów znajomości historii miasta, czyli m.in. legend, zwyczajów i ukształtowanych tu tradycji.

o 70 tys. drzew więcej? A tyle właśnie dzieci i młodzież uczy się w naszych szkołach podstawowych i średnich. Jakże poprawiłyby się warunki życia, o ileż byłoby zdrowiej i przyjemniej!

Poza aspektem biologicznym całej sprawy, bardzo zresztą aktualnym, jest jeszcze najważniejszy jeden: wychowawczy. Najpierw w wymiarze jednostkowym — wobec samego ucznia. Zrobi on coś pożytecznego dla swego miasta, a efekt pracy będzie zaprzeczony — własny i trwały. Bo — po drugie właśnie — sądzę, że nie będziemy jako ogół, całe społeczeństwo, niszczyli tych drzewek, wiedząc, że za każdym z nich kryje się pewien trud i jakieś jednak uczucie konkretnego dziecka. Myślę zresztą, że szkoły mogłyby zadbać, by ich uczniowie nie tylko je stale pielęgnowali, ale by podczas zajęć świetlicowych,

Na ile ta propozycja jest realna? Ależ bardzo! Tereny są przygotowane — jezeli nie przy szkołach, to w osiedlach, jezeli nie tam, to nawet w dzielnicowych czy ogólnomiejskich przyszytych parkach. Drzewka? Kierownik Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UM, Henryk Korczewski, twierdzi, że nie ma problemu. Ba — on nawet gotów jest za te sadzonki zapłacić. Oczywiście nie wkopie się od razu 70 tys. drzew, ale sukcesywnie można to zrobić. A następne roczniki uczniów zaczęłyby swoje publiczne życie od posadzenia

PRZYPOMINAMY

że

wczoraj był pierwszy dzień wiosny **DOKŁADNIE 30 LAT TEMU UKAZAŁ SIĘ PIERWSZY NUMER „KURIERA LUBELSKIEGO”**. Wydarzenie to nie zapoczątkowało co prawda nowej ery w polskiej prasie, ale doprowadziło do tego, że dziś Czytelnicy płacą za „Kamień”, a czytają „Kurier”.

Słońce weszło o godz. 5.35 i oby już zawsze świeciło. O której godzinie wszędzie księżyc? Kolejnym redakcyjnym w tej sprawie decyzji jeszcze nie podjęto.

Imieniny obchodzą: Bogusław i Katarzyna. Zaproszenia przyjmujemy na wszystkie bankiety, ale najchętniej od Kasi. Zawsze widzkiej — Miss Polonia '85.

Przysłowie dnia: Ani ojciec ani matka Nie da ci tego, co ci da. Lecz nawet sąsiadka. Co da prenumerata „Kuriera Lubelskiego”. (stan)

Zyskają:

szkółki czytelników kuriera

i „Gloria Victis”

wydawnictwo specjalne

kurier

lubelski

w kamienie

Historia jednego pytania

Tak się dodania

Koszty warszawskie

gwiazdy zagrają!

30-lecie „Kuriera Lubelskiego” stawia się większość sław lubelskiej koszykówki.

— Jesteśmy wolni zaraz po świętach wielkanocnych — zadzwonili z Francji Bogdan Leczy i Ireneusz Mulak. Wyznaczcie termin, przyjeżdżamy.

Z ogromną radością przyjął zaproszenie nadal grający w koszykówkę — ale teraz w Austrii — Waldemar Kozak. Mieszkający obecnie w Wąbrzychu Edmund Czerwiński, Janusz Krzesiak i grający w I-ligowym Górniku, Wojciech Krzyżak nie mogą się doczekać spotkania po latach. Szykuje się na przyjazd z Gdańska Jan Jargiello.

Trenerzy Zdzisław Niedziela i Stanisław Dzierżak ze-stawili już skład drużyny. Kto wybiegnie na parkiet, zobaczymy najprawdopodobniej 21 kwietnia w hali WOSiR. Cały dochód z meczu przeznaczymy na dwa cele: ogólnopolski fundusz pomocy sportowcom „Gloria Victis” i Szkole Czytelniców „Kuriera Lubelskiego”.

(M.H.)

Świat

Dopiero za parę tygodni prof. ANDRZEJ WERONSKI z Politechniki Lubelskiej znać będzie odpowiedź na pytanie, jakie zadał sobie przed 10 laty.

Pracował wówczas w Hucie im. M. Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim. Dlaczego? — zastanawiał się — polskie kokile, czyli specjalne formy do odlewania rur żeliwnych, mają trwałość trzykrotnie mniejszą od podobnych stosowanych w Japonii, Francji, RFN?

Z pytaniem tym Andrzej WeronSKI przybył na Politechnikę Lubelską. Tu rozpoczął gruntowne badania nad zjawiskiem, które dziś pod nazwą ciepłego zmeżenia metali weszło już na dobre do literatury technicznej.

W praktyce zjawisko to można spotkać na każdym kroku. Każda bowiem maszyna, począwszy od prostego koła umocowanego na osi, aż do reaktorów jądrowych, w czasie swej pracy nagrzewa materiały, z których jest zbudowana. W drastycznych przypadkach, przy nagłych zmianach temperatur, metale przechodzą swoisty szok termiczny i bardzo często odkształcają się, pękają, rozpadają w pył. Katastrofa wadliwym przykładem jest tego o-czystym przykładem.

Lata badań i doświadczeń pozwoliły profesorowi Weron-skemu dogłębnie poznać zjawisko, które opisał w książce pt. „Ciepłota wytrzymałość metali”. Książka ta doczekała się już wydania w Związku Radzieckim, a teraz przygotowywana jest do druku przez wydawcę francuskiego. Swoją wiedzę teoretyczną lubelski naukowiec spożytkował w praktyce, usprawniając technologicie przemysłowe w zakładach pracy.

Jego wynalazki obwarowane są wieloma patentami. Ko-

kile okazały się dla prof. Weronskiego wyjątkowo trudnym problemem technicznym, na którego rozwiązanie przyszło mu czekać 10 lat. Ale długoletnia praca pozwoliła mu znaleźć odpowiedź i na to pytanie: — Dlaczego zagraniczne kokile są lepsze od naszych?

Różnica kryła się w drobnych, ale, jak się okazało, istotnych zmianach w technologii wytwarzania. Pierwsze egzemplarze wyprodukowane nową metodą od niedawna są testowane przez odlewanie w Końskich. Wyniki prób są pozytywne. Wskazują na to, że polskie kokile będą wreszcie tak samo trwałe, jak te najlepsze na świecie. A to oznacza ogromne oszczędności materiałowe i energetyczne. Pytanie tylko, kiedy znajdą one zastosowanie we wszystkich polskich odlewniach?

(stan)

psiluczkki i poluczkki

W SROD pan i panienek, ekspedientek miasta Lublina, modyny jest ostatnio dość dziwny zwiyczaj. Otóż w chwilach, gdy w lokalu panuje niewielki ruch, sprzedawczyńie urozmaicają sobie nudę, siadając jedna drugą na kolanach, czemu towarzyszą przekomarzenia i niepoważne „śmichy - chichy”. Zaobserwowałam to m. in. w dwu sklepach z obu-biurem oraz w Pewerie na Orlej, gdzie normalnie ekspedientki zachowują się z królewską wręcz godnością.

Cóż, co kraj, to obyczaj. Złakionym oryginalnych od-ruchów ekspedientkom pole-

kich działaniach. „Kurier” jest werny modelowi z tamtych lat. A to niezmiernie ważne, bo czytelnicy mają swoje przyzwyczajenia. Mijają lata, zmieniają się autorzy, w ga-

SFINKS
REDAGUJE
STANISZAW
KRUSIŃSKI

SZYFROGRAM

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40

Autor SFINKSA darzy KAMENĘ szczególnym sentymentem, gdyż właśnie na jej łamach w 1970 r. ukazała się pierwsza jego, 15-letniego wówczas ucznia LO, krzyżówka. Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, jak duży był to bodziec do dalszego zajmowania się szaradziarstwem, nie mówiąc już o tym, że honoraria należały wtedy naprawdę do godziwych. Mo-

(t)

Spacerkiem po Lublinie

Panie Redaktorze!

SZUKAMY wciąż terenów pod zabudowę mieszkaniową gąsies na rybierkach Lublina, a w Śródmieściu można budować nie tylko plomby, ale nawet mini-osiedla. Tak, to nie przesada! Każdego, kto nie wierzy, zapraszam do zwiedzenia kwadratu ulic: Okopowa, Narutowicza, Konopnicka, Orla. Byłem tam na spacerze i o to zobaczyłem.

W podwórkach posesji jest bardzo dużo miejsca oraz stoi trochę starych bud nadających się jedynie do wyburzenia. Nawet Orla zabudowana jest budami lub kilkoma jednopiętrowymi, rozsypanymi się już domami. Zastępczych mieszkańców trzeba by więc wlecie.

Tu, wśród zieleni, można z powodzeniem wybudować kilka bloków mieszkal-

nych o różnych kondygnacjach, w sumie przynajmniej ponad sto mieszkań. Jednocześnie (ponieważ jest to centrum miasta) proponowałbym zbudowanie tu podziemnych parkingów garażowych dla kilkudziesięciu samochodów. Mogłoby korzystać również okoliczni właściciele aut.

I drugie podobne miejsce, na tyłach Krakowskiego Przedmieścia, między ul. ul. Kartowicza, Koliątaja, a gmachem DOKP. Wymiarzone dla kilku bloków lub wieżowców bez uszczuplenia placówki ze starymi lipami. I do tego co za lokalizacja! Sam środek centrum.

Jestem przekonany, Redaktorze, że gdyby urbanisci rozejrzeli się dobrze po Śródmieściu, podobnych miejsc znalazłoby sporo. Architekci zaś wycałowaliby pełne uroku mini-osiedla.

Sciskam Pańską Dłoń.
M. KESZEL



Lwie panie

DOBRY aktor zagra, Ponoć, zachód słońca nad Tahiti podczas przyboju i miłości góry lodowej do piramidy Cheopsa. Słabszy aktor do grania musi mieć tekst. Tak się złożyło, że w dwóch wiódących serialach, realizowanych na podstawie książek dwóch autorów, spotykamy dwie panie M. Jedną Megi („Dzieciństwo miłości”) gra aktorka o ustalonej renomie, która np. zachwycała w „Waszyngtonie za zamkniętymi drzwiami”, w drugiej Megi („Praki cierristich krzewów”) wcieliła się ex-modelka o ładnej buzi i śródkach aktorskich wyniesionych z teatryku przedśkołnego. Tylko w przypadku drugiej z pań M. wierzymy w zarysowany dramat.

Zadanie do domu: która z autorek adaptowanych książek nie otrzyma nigdy Nagrody Nobla?

(x)

Nowe oznakowania Polonezów

O D 1 marca FSO wprowadziła nowy system oznakowania Polonezów. Wiąże się on przede wszystkim ze zmienionym nieco nadwoziem, które otrzymało symbol-literkę S.

Oznakowania Poloneza MR-87 przedstawiają się następująco: 1,3; 1,5; 1,6; SC — jest to auto z silnikiem 1300, 1500 lub 1600 ccm, z nadwoziem o dodatkowych oknach w tylnych słupkach, z nowym spojlerem, ale bez przodu coupé i ze standardowym wyposażeniem wnętrza: 1,3; 1,5; 1,6; SCE — wszystko jak poprzednio, ale silnik z elektronicznym zapłonem beztykowy; 1,3; 1,5; 1,6; SL — silnik standardowy jak w poprzednim przykłądzie, nadwozie również, ale wnętrze luksusowe; 1,3; 1,5; 1,6; SLE — nadwozie z dodatkowym spojlerem, okienkami w tylnych słupkach, przodem coupé, wyposażeniem luksusowym plus zapłon elektroniczny beztykowy; 1,6; SLD — nadwozie ze wszystkimi dodatkami (okienka, przód coupé, spojler), z zewnątrz i wewnątrz luksusowe wykończenie, silnik wysokoprężny, na razie importowany, od Volkswagena, potem polski.

Jednocześnie produkowane są (stare) modele, które, oprócz oznakowań cyfrowych jak wyżej, mają następujące litery: C — Classic (wyposażenie podstawowe); L — Lux (wyposażenie dodatkowe, niby luksusowe); E — zapłon elektroniczny; D — Polonez z silnikiem wysoko-

prężnym.

Fabryka nie przewiduje nowych oznakowań dla FSO-125. Ja proponuję z racji strasznej tandety i przestarzałej konstrukcji — Z — czyli złom.

MOTO-KURIER

Dzisiaj jesteście pewni, że na mecz koszykarskich wspomnień który chcemy zorganizować wygodniatym kibicom basketu w Lublinie na

Rozesłałmy po kraju i swoje dawnych kolegów z parkietu Leszek Postół.

Dzisiaj jesteście pewni, że na mecz koszykarskich wspomnień który chcemy zorganizować wygodniatym kibicom basketu w Lublinie na

(maz)

— Podczas XV Aukcji Antykwarystycznej w Warszawie kupił pan za trzydzieści i pół tysiąca książkę „Zufaranda. Strachotaopis czyli sztuka przedłużenia życia udanego”, której cena wywoławcza wynosiła 1 tysiąc. Dlaczego tak pan przepłacił?

— Byłem zdecydowany licytować dalej, nawet do 25 tysięcy. Już dawno na nią polowałem. Jest to wydanie z 1828 roku, w bardzo dobrym stanie.

— Uwaga pan, że książki kucharskie to dobra literatura?

— Niezbędna. Ludzie, którzy nie interesują się jedzeniem, to są inwalidzi z własnej winy. Jak można nie doceniać czegoś, co robi się trzy razy dziennie? To tak, jak małżeństwo idące ze sobą do łóżka, bo taki jest rytuał, a w gruncie rzeczy wcale ich to nie interesuje. Jaką przyjemność może mieć człowiek, który rano wstaje z łóżka, zje byle jakie śniadanie, z pośpiechem, lub nie zje go w ogóle. Niejeden, odchodząc na emeryturę, myśli: „Co ja właściwie zrobiłem w życiu? Dobrze nie zjadłem, kobiet nie miałem, piwa czy wina się nie napiłem”. I po co taki był?

— Historia o takich nie pamięta.

— Ano, właśnie. Dlatego wpadłem na pomysł wydania książki „Co kto lubi jeść?”. Pod koniec 1983 roku zacząłem wysyłać listy. W sumie wysłałem około 4 tysięcy w Polskę i 2 tysiące za granicę.

— Do kogo?

— O, to są przedstawiciele różnych środowisk: politycy, lekarze, aktorzy, dziennikarze, muzycy, biznesmani, kilku kucharzy, dyrektorów oper i ogrodów zoologicznych. Słowem, ci wszyscy, którzy mają jakiś życiorys i jak przypuszczam, interesują się kuchnią.

— Odpisali?

— Otrzymałem, jak dotąd, kilkadziesiąt odpowiedzi. Także dość dużo zwrotów z adnotacją: adresat nieznanym. Ale ja dalej cały czas piszę, do niektórych ponownie i, wie pani, obserwuję taką prawidłowość. Choć za granicę wysłałem dwa razy mniej listów, otrzymałem około 20 procent odpowiedzi, a z kraju tylko 3 procent. Okazuje się, że inne narody mają większe poczucie humoru. Pisałem przecież do prezydentów: Meksyku, Egiptu, Filipin, do Mitterranda, Cartera i Reagana. Niektórzy, jak król Szwecji, Hiszpanii, czy królowa holenderska, przysłali odpowiedzi negatywne, zasłaniając się dworską etykietą. Ale odpisali. Podejrzewam, że w kraju wrzucają moje listy do kosza.

— Ciekawa, jestem od kogo ze znanych ludzi w Polsce otrzymał pan najwięcej odpowiedzi?

— Błyskawicznie odpisał Jerzy Urban, który uwielbia czerwony kawior i... jaja na miękko. Podał nawet na mnie przepis: „Bierze się dwa jajka kurze i gotuje w wodzie przez 3 minuty”. Szymon Kobyliński podał przepis na jajecznicę (a może to omlet?), Aleksander Krawczuk lubi torcik cytrynowy, Maria Połtyn — grzanki z winem. Jedna plastyczka z Gdańska przysłała mi przepis na rogi jelenia.

— Ale najbardziej oryginalny był chyba Waldemar Łysiak.

— Czy można go zacytować?

— Proszę bardzo. Przepis na grochówkę księżniczkę: „Bierzemy twarde groch, samogon, rożen oraz dobrze odchowaną księżniczkę. Przygo-

nie jest stała, by go tak gruntownie hartować. Poza tym kuchnia wegetariańska to nie tylko sztuka jedzenia, ale sztuka życia. Cała filozofia, z różnymi kierunkami. W najbliższym czasie przystąpię do jej opisania.

— Wypróbowałeś pan wszystkie przepisy, które podaje pan w książkach?

Bierzemy twarde groch, samogon i księżniczkę...

ROZMOWA Z HENRYKIEM DĘBSKIM - MISTRZEM KUCHNI

— Staram się. W tym roku ukaże się pozycja — „Zupy świata”. Dokładnie 2020 przepisów. Wypróbowałem prawie wszystkie. Zdarzało się, że ugotowałem, spróbowałem i wylałem,

— Staram się. W tym roku ukaże się pozycja — „Zupy świata”. Dokładnie 2020 przepisów. Wypróbowałem prawie wszystkie. Zdarzało się, że ugotowałem, spróbowałem i wylałem,



Fot. Tadeusz Szwed

— bo nie miał kto zjeść. Zona mówiła, że bym zanosił sąsiadom, ale nie będę strugał wariata.

— Wiele jaka zupa jest najlepsza na świecie?

— Oprócz zółwowej, którą gotowałem na przyjęcie dla 20 osób i do której wlałem całego napoleona, mnie najbardziej smakuje zupa o hiszpańskiej nazwie Castilla de Sevilla. Historia odkrycia jej przeze mnie jest bardzo śmieszna. Czytałem kiedyś

— kryminał. Nie pamiętam tytułu. Autor pisał o tej zupie, twierdząc, że przepis liczy 2 tysiące lat. Ja tę zupę przygotowywałem kilkakrotnie, ciągle ją ulepszając.

— Podamy przepis?

— Zmielone kurze pierśi podsmaża-

my na patelni z cebulą, zalewamy wywarem z warzyw. Do gotującej się zupy dodajemy pokrojone jarzyny wraz z papryką, podsmażone na maśle. Pod koniec gotowania dodajemy do smaku trochę pokrojonej wędzonej szynki. Zaciągamy lekko młaką ziemniaczaną. Dodajemy odrobinę koncentratu pomidorowego, żółty ser starty na tarce, przyprawy: cynamon, gałkę muszkatołową, pieprz, curry. Wlewamy do filiżanek. Wbijamy całe jajka i wstawiamy do piekarnika, by ścięła się białko.

— Skąd się właściwie wzięło pana zainteresowanie kuchnią?

— Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej. Moją prarodzinną była sekretarzem królewskim Jan Kazimierza. Wtedy dopiero się jadło. Niestety, w moim rodzinnym domu nie zachowała się ta tradycja. Moja matka miała inklinacje artystyczne, śpiewała wspaniałym mezzosopranem, chodziła do szkoły muzycznej w Sopocie. Lecz kiedy wyszła za mąż, zrezygnowała z kariery.

— Zwykle jednak artyści mają delikatne podniebienie.

— Muszę przyznać, że mimo iż matka nie przywiązywała dużej wagi do jedzenia, to wspaniale przygotowywała kapustę, w każdym razie mnie się tak wtedy wydawało. Kiedy napisałem książkę „Potrawy z kapusty”, dedykowałem ją matce.

— Więc w domu nieciele się pan nauczył?

— Doznałem oświecenia dopiero jako kilkunastoletni chłopak, kiedy w latach pięćdziesiątych zetknąłem się z kuchnią. Trafiliem do pracy w restauracji „Monopol” we Wrocławiu. Do tej pory pamiętam dwóch kucharzy stamtąd. Jeden, Jan Szymański z Jędrzejowa, pracował przed wojną na „Batorym”, drugi, Karol Furtak, znał

— jąc spraw ważnych i istotnych. Przykład pierwszy z brzegu to omówienie ekspozycji Piotra Kowalskiego — „obrazy”, piramida niedorzeczności, chociaż wystawa była wyjątkowo klarowna i mądra.

— Być może winne tempo i charakter publikacji. Prasa codzienna to nie „Studia Filozoficzne” i sądy nie muszą być tak wyważone i dociekliwe. Ale dobra robota i kompetencja obowiązują wszędzie.

— Drugim przykładem niech będzie „Alexander”. Sens omówienia jest taki, iż Krzysztof Pruszkowski odkrył Francuzom clocharda-Alexandra, a jego los uświadamia problem samotności w wielkim, nowoczesnym mieście. Refleksja z rzędu „elementarnych” i zauważa ją każdy uczeń szkoły podstawowej. Natomiast ani słowa — jak (!) Pruszkowski przedstawia Alexandra i na tym polega oryginalność tej ekspozycji.

— Nabrałem powietrza w starze płuca i zamysliłem się głęboko. Spróbujmy jeszcze raz opisać wystawę.

— Na przeciwległych ścianach dwie, olbrzymich rozmiarów (2x4 m) fotografie kamiennego muru, z fakturą polaczek, odcieniami szarości, dziala-

— niem ulicznego kurzu. Na jednej fotografii-murze: Alexander, prawie przyklejony do muru nastluchujący... Na drugiej: sam mur i ciemna plama, ślad cienia obecności człowieka. Na trzeciej ścianie zawieszono są wycinki recenzji, nota biograficzna autora, słowem: teksty z Pruszkowskim i Alexandrem... Czwartą zamyka cykl sześciu fotografii, formatu 30x40 cm, mini-reportaż o Alexandrze i perypetie Pruszkowskiego, związane z podtrzymaniem pamięci o znajomym, bliskim, ale nieobecny clochardzie (naklejanie fotografii postaci w miejscu cienia).

— Skoro już jesteśmy przy fotografii, samotności i clochardach, warto chyba wspomnieć, iż Francja miała swojego samotnika — fotografa — Atgeta. Postać barwna i zapoznaną, jak zwykle bywa — wreszcie odkryta i doceniona. Jego fotografie Paryża, paryskiej ulicy z przelotem wieków i lat-dwudziestych XX wieku, to nieoceniony dokument i wspaniała interpretacja. Kilka z tych fotografii można było oglądać na wystawie „4xParyż”.

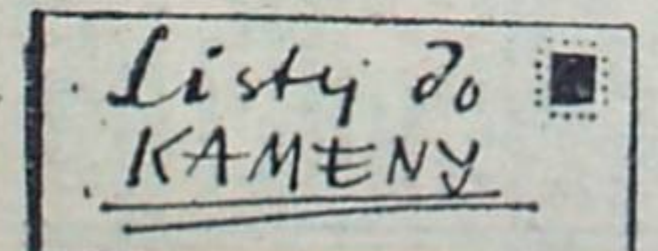
— Krzysztof Pruszkowski zrezygnował (choć nie całkowicie) z małych formatów fotograficznych, zbyt spektakularnie sugerujących związek fotografii z malarstwem. Nawiazał do własności fotografii, w której — wg teoretyków — przedmiot fizyczny, rzeczywistość

— same sytuują się na taśmie światłoczułej. Fotografia — najwierniej reprodukuje rzeczywistość — jakby sama stawała się rzeczywistością.

— Pruszkowski przeniósł do sali wystawowej nie fotografię muru z Alexandrem, ale paryską rzeczywistość, paryską ulicę. Oglądając tę oryginalną ekspozycję, mamy wrażenie, jakby nas postawiono twarzą w twarz z realiami, jakbyśmy uczestniczyli w misterium istnienia Alexandra.

— Jest także druga płaszczyzna interpretacji, której sprawozdawca nie dotknął, a jak wynika z jego tekstu — zupełnie nie rozumiał. Właśnie symbolika cienia.

— Usytuowanie opowieści o Alexandrze w granicach obrazu-fotografii i fotografii cienia jest rozwiązaniem znakomitym, bowiem fotografia interpretowana jest jako cień przedmiotów, rzeczy, świata realnego. Cień jest koncepcją psychoanalizy, odwołującą się do archetypów, zakodowanych w naszej psychice mitów, zbiorowych doświadczeń, nie uświadomionych odczuć. Z jednej strony fotografia-odbiicie rzeczy, z drugiej: fotografia-cień, w dawnych mitologiach i wierzeniach śledziło duszy. Zabrać komuś jego cień, to zabrać duszę, zabrać wszystko. Cień po Alexandrze jest widomy



O ALEXANDRZE RAZ JESZCZE

W „SZTANDARZE LUDU” z dnia 20 II 1987 r. przeczytałem krótki tekst Mariana Stawockiego. „Czy tylko cień”, poświęcony prezentowanej w BWA wystawie fotograficznej „Alexander” — autorstwa Krzysztofa Pruszkowskiego.

— Oglądam wystawę komentowaną przez Mariana Stawockiego i ze smutkiem stwierdzam, iż coraz częściej — powiedziałbym nawet o regule — o opinie sprawozdawcy krąży na marginesach, nie dotykając i nie odczytując

śledem języków obcych i podobno jeździł po całym świecie z Andrzejem Potockim. Czy to było prawdą, co oni opowiadali, nie wiem. Sprawdzę, gdy będę pisał encyklopedię. To byli tacy ludzie, że ledwie pisać i czytać umieli. Nic ich nie interesowało poza gotowaniem. Ale jak zrobili bryzole, to cyrklem można było objechać. Jeden w drugi podobne, jak dwie krople wody. Wówczas w „Monopolu” można było dostać wszystko, nawet homary. Ja zacząłem od palenia w piecach. A po roku zdawałem egzamin na ucznia kucharskiego. Był to wielki dzień. Przyjechał sam dyrektor Orbiś. Czy to dzisiaj do pomysłenia? Po trzech latach pracy odszedłem z „Monopolu”, trafiłem gdzie indziej, a kiedy znów wróciłem, okazało się, że to nie ta sama restauracja, niestety. Tymczasem stwierdziłem, że trzeba się uczyć, bo bez tego daleko nie zajadę. Zapisalem się do szkoły zawodowej, później do technikum. Spieszyłem się, bo miałem już trzydzieści lat i rodzinę na głowie. Byłem wówczas szefem kuchni. Wstawiałem o szóstej rano, a kładłem spać o drugiej w nocy. Spałem po cztery godziny dziennie.

— Jak Napoleon...

— Ale za to miałem efekty. Byłem najlepszy w całej szkole.

— Lecz od stanowiska szefa kuchni do autora książek, droga daleka.

— Mówiąc szczerze, od czasu, jak wszedłem do kuchni, to na drugi dzień marzyłem już, by napisać książkę kucharską, mimo iż przez kilka miesięcy nie mogłem rozemnieć się w tych wszystkich potrawach. Chataubriand, de volaille, filet mignons to była dla mnie czarna magia. Kiedyś, sam nie wiem dlaczego, zabrałem się do pisania. Właściwie pisała żona, a ja jej dyktowałem. Było tego dziesięć dużych zeszytów. Zaniósłem je do wydawnictwa Watra. Kazali przepisać na maszynie. Wydałem cztery tysiące złotych, a sam zarabiałem dwa, i wtedy powiedzieli, że jej nie chcą. Faktem jest, że pominąłem wiele rzeczy, które wydawały mi się nieistotne. Jeśli napisałem: ugotować ryż, to myślałem, że wszyscy wiedzą, jak to się robi. Narażono mnie na koszty, choć i to nie poszło na marne, bo zacząłem tę książkę opracowywać, by wyrobić sobie własny styl.

— A jaka była pierwsza pana wydrukowana książka?

— „Słodkie dania obiadowe i deserowe”. Kiedy po raz pierwszy wziąłem ją do rąk, okropnie mi się trzęsły. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Dla mnie była to nieprawdopodobna historia. Zaczęłem przecież od zera.

— Czy jest coś w pana jadłospisie, czego codziennie pan używa?

— Na kolację zawsze jadam otręby. Dwie łyżki prażą na patelni i popijam moimi ulubionymi pokrzywami.

— Stąd pewnie ta młodzieńczość i dobre samopoczucie?

— Być może.

Rozmawiała: Irena Filus

znakiem jego istnienia i pobytu (kiedyś) ale jest też dowodem jego duchowej (magicznej) obecności teraz. Naklejane fotografie przywołują jego fizyczną obecność z zaświatów...

Stówny komentarz Pruszkowskiego pozbawia Aleksandra anonimowości, przywołuje też dobre dawne czasy, kiedy artysta czuł się odpowiedzialny za rząd dusz i wierzył w swoje poslannictwo.

Zdzisław Toczyński

Lublin

„LAMENT NAD SZKOŁĄ”

SZANOWNA REDAKCJO!

Piszę zbulwersowany artykułem H. Węclawskiego „Lament nad szkołą”. Artykułu tego nie uważam za prasowy głos w dyskusji, lecz za świadomą napaść na szkołę. Tekst ten implikuje, iż produkuje ona wyłącznie idiotów i że nie posiada żadnych pozytywności. Całość napisana w dziwacznej formie ni to wywiadu, ni to je-

lietonu, operująca językiem martwym, wykluczającym sugestię, że jest to autentyczna wypowiedź żywego człowieka. Czyżby zatem autor ukrywał się za podwójną gardą? Brak w tekście szczegółów, konkretnych przykładów, faktów. Pozostaje jedynie ogólny „lament” (tytuł jest tu wybitnie adekwatny), podważający wartość wszystkich i wszystkiego, co ma związek ze szkołą. Część autorskich uwag to komunały, część zaś to świadomie prowokacyjne inwektywy. Takimi artykułami na pewno nie wypracujemy tej „jasnej i klarownej koncepcji funkcjonowania szkoły”, o której marzy pan Węclawski.

Z poważaniem

Marian Kania

Lublin

PANIE REDAKTORZE!

Nareszcie ktoś odważył się powiedzieć głośno prawdę o całości funkcjonowania naszych szkół. Ma Pan rację, że do zamieszczonych w artykule uwag można by dorzucić wiele innych; choćby prowadzenie lekcji przez nauczycieli, którym nie wywierzają jeszcze z głowy opary libacji z poprzedniego dnia, czy wręcz podp-

tych, zwykłe chamstwo w stosunku do uczniów, arogancko-erotyczne zapędy w stosunku do uczennic, wszystkie te złościwości i zrykany, które nieraz musimy znosić. Szkoda, że zamiast z nauczycielem nie porozmawiał Pan z jakimś uczniem. Na pewno dowiedziałby się Pan jeszcze wielu innych ciekawych rzeczy. Nie twierdzą, że jest to reguła, ale takie przypadki zdarzają się i to częściej, niżby się wydawało. (Na użytek Redakcji służę ewentualnie konkretnymi przykładami.)

A sprawiedliwość i uczciwość w wystawianiu ocen? A pozycja tatusia czy mamusi, decydująca nieraz o pozycji syna czy córki w szkole? Wszystko to na co dzień przykryte napuszoną fanfaronadą autorytetu, stwarzające wrażenie swoistej świątyni uduchowienia i szlachetności. A „partnerstwo”? Lepiej nie mówić...

Uczennica LO

Lublin

SZANOWNA REDAKCJO!

Artykuły takie jak „Lament nad szkołą” Henryka Węclawskiego nie powinny się w ogóle ukazywać na la-

ność [...], ten wie, jakimi środkami wyrazu operuje Wionczek. Jest to raczej widowisko publicystyczne niż film fabularny, raczej wykładnia notowanych na gorąco racji politycznych niż utwór o trwalszej refleksji społecznej czy moralnej. Zbyt mały, mimo upływu czterech lat, jest dystans do wielu spraw, synteza tego dramatycznego okresu nie wydaje się jeszcze możliwa. Dlatego raczej mogą w tym filmie różnorakie uproszczenia, pobieżnie nakreślone sylwetki protagonistów, sceny tracące deklaratywnością. Ale jednocześnie „Godność” i „Czas nadziei” są istotną próbą „ugryzienia” trudnego tematu, pokazania w swoistej mikroskali, na przykładzie przeciętnej rodziny robotniczej, podziałów politycznych i światopoglądowych, jakie stały się udziałem milionów Polaków w początkach lat osiemdziesiątych.”

W „Czasie nadziei” główny bohater „Godności”, stary robotnik Karol Szostak, wywieziony w finale poprzedniej opowieści na taczce za bramę zakładu, w którym przepracował czterdzieści pięć lat, teraz, po wprowadzeniu stanu wojennego, staje się wbrew własnej woli, biernym obserwatorem tego wszystkiego, co się dzieje naokoło: w kraju, w jego rodzinie (w której jedni członkowie zostali internowani, a inni nadal działają w zakładowym Komitecie Partyjnym, usiłując odzyskać zaufanie załogi, sami również rozdarcie wewnętrznie i nekani codziennymi wątpliwościami) i wreszcie — w halach fabryki, do której Szostak nie może powrócić, bo wciąż ciąży na nim piętno „wywiezionego”. Dla zachowania spokoju, nie drażnienia ludzi, zasłaniając się „wyższymi celami”, kierownictwo zakładu nadal odmawia Szostakowi prawa do podjęcia pracy, bez której nie wyobraża on sobie normalnego życia. A gdy w końcu bohater „Czasu nadziei” wraca do zakładu, jest już na skraju kompletnego załamania: przyczynia się do tego atmosfera prawie powszechnego bojkotu ze strony współtowarzyszy pracy. Czy w końcu Szostak zdecyduje się nie odchodzić na emeryturę, czy zdoła wytrwać przy własnym zdaniu, wbrew temu wszystkiemu, co się wokół dzieje? — na to pytanie Wionczek nie chce dać ostatecznej odpowiedzi... Zawiesza niejako tę sprawę w finale filmu.

Atutem „Czasu nadziei” jest dobrze pomyślana główna oś dramaturgiczna całej opowieści. Tragedia człowieka, który wierząc w swoje racje, wierząc w sens życia i istnienia w pracy, staje się w pewnym momencie mało znaczącą i mało komu potrzebną jednostką. Gdzieś tam, dla różnych „ważnych celów”, zaczyna się niebezpiecznie gubić zwykłego człowieka... — wydaje się mówić Wionczek. Ta oś dramaturgiczna, i doskonale zagrana przez Jerzego A. Braszkę postać Karola Szostaka, w istocie trzymają „Czas nadziei”.

Trzymają, bo obudowujące ten zasadniczy pierś film „paradokumentalistyczne”, poboczne epizody często tracą bądź to naiwnością, bądź też nadmiernym spiętrzeniem dramatycznych „efektów” (sekretarz komitetu zakładowego partii walczy o słuszną sprawę, podczas gdy tymczasem jego żona popada w dewocję, a na dodatek ich syn, kilkunastoletni chłopak, wchodzi w skład podziemnej organizacji grupującej młodych ludzi o nierobotniczym rodowodzie, i — mimo okazanej mu przez milicję wyrozumiałości — ciska kamieniami w pierwszomajowy pochód, w którego szeregach kroczą zarówno jego ojciec, i dziadek, stary Szostak). Czy takie „skrajne”, tak szerokim wachlarzem zarysowane wydarzenia i sytuacje zdarzały się w tamtym gorącym i skomplikowanym okresie? Zapewne tak, ale jednocześnie każdy twórca powinien zdawać sobie sprawę, że spiętrzenie faktów, skądinąd autentycznych, zaczyna pobrzmiewać artystycznym fałszem. Przenosząc sprawę tylko na grunt filmowy, uważam, że nie zawsze to, co sprawdza się w „dokumencie”, sprawdza się również dobrze w „fabule” i na odwrót.

I to jest jedna z tych pułapek, które czyhają na doświadczonych reżyserów, gdy biorą się za gatunki, w których nie mają jeszcze zbyt wielkiego doświadczenia.

M. D.

mach prasy. Stanowią one podważenie dorobku większości nauczycieli, którzy w trudnych warunkach, uczciwie i z pasją wykonują swój bardzo odpowiedzialny zawód. Dziwię się, że pan Węclawski nie zakwestionował istnienia szkoły w ogóle. Zresztą jego napastliwe uwagi sprowadzają się w gruncie rzeczy właśnie do tego. Jestem pewna, że pan Węclawski nie rozmawiał z żadnym nauczycielem, a informacje swoje czerpał od jakiegoś sfrustrowanego podlotka. Krytykować wszystko w czambuł jest łatwo; trudniej zdobyć się na rzetelną i fachową analizę. Tej w artykule „Lament nad szkołą” nie mogłam się doszukać. Lamentujemy więc dalej, tylko co z tego wynika?

Radzę, by Pan Redaktor popracował trochę w szkole, a potem zasiadł i napisał o niej artykuł.

Maria O.

Emerytowana nauczycielka
Lublin

Od autora: W szkole pracowałem parę lat.

Henryk Węclawski

kamena 9

Dla kogo książka?

Dokończenie ze str. 1

leży choćby kultura. Spór o jej dochodowość trwa nie od dziś, a mimo to nie „dopracowaliśmy się” innej alternatywy od tej, która głosi, że i ta dziedziną życia może na siebie zarobić, przy założeniu wszakże, iż wspierać będzie przy okazji treści trudniejsze, bardziej ambitne. Obowiązujące do niedawna przekonanie, że do kultury trzeba programowo dopłacać było równie absurdalne, co i powszechne obecnie twierdzenie, iż musi się ona w całości sama wyżywić. Jeżeli nie uda nam się ustawić tej kwestii we właściwych proporcjach, reforma w kulturze padnie nie z winy tych, którzy wciąż jeszcze myślą po staremu, lecz przede wszystkim tych, którzy zaczynają nie myśleć w ogóle.

Nie wnikając w mechanizmy rządzące teatrem, sztuką filmową czy sztukami plastycznymi, zatrzymajmy się dłużej przy literaturze, a jeszcze dokładniej — przy książce.

Dotychczas pokutowało u nas jakby postszlacheckie przekonanie, że handel jest rzeczą niemożliwą w ogóle, a handel ludzką myślą — w szczególności. Przekonanie to nie przeszkadzało nam, co prawda, w organizowaniu od lat znanych w Europie targów w książki, pocieszały się jednak myślą, że bardziej chodził tu o książkową oprawę, jej wystrój, umownie mówiąc: formę, mniej zaś o treść. Dopiero kryzys uświadomił nam nagle dawno obowiązującą w świecie zasadę, że książka jest także towarem: towarem szczególnym i mieszczącym się w wieloznacznym wymiarze. Uczepiliśmy się tego odkrycia tak silnie, że treść przestała nas w konsekwencji w ogóle interesować, a dokładniej — zaczęła nas interesować tylko w określonym doborze. Za treść odpowiadają pośrednio wydawcy, bezpośrednio zaś autorzy. Związek jest tu możliwie najprostszym.

W wydawnictwach zapanowała zasada (odnosząca się w równym stopniu także i do prasy, ale to osobne zagadnienie), że „produkcja” musi przynosić bezwarunkowe zyski. W takim postawieniu kwestii kryje się, niestety, poważne nieporozumienie. Wszędzie bowiem na świecie istnieją także tytuły i tacy autorzy, do których, z rozmaitych powodów, trzeba dopłacać. Wydając, dajmy na to „Literary Review”, trzeba się podierać takim choćby „Playboyem” (oczywiście przywołuje układ fikcyjny). Tymczasem u nas zaczyna się rozpowszechniać przekonanie, że pisma kulturalno-literackie powinny sprzedawać się tak samo jak „Express Wieczorny”, a Sartre musi być rozchwytywany równie chętnie jak „Skirolawki”.

Marginesy rzeczy wymagających wsparcia kurczy się gwałtownie. Takie pojmowanie sprawy jest najprostszą drogą do zatracenia twórczości ambitnej na rzecz rozkwitu jej sensacyjno-erotycznej odmiany. Do niedawna sprawa wydawała się pozostawać szczęśliwie w normie. Mówiąc w dużym uproszczeniu, KAW „zalał” przykładowo lżejszą odmianę twórczości, podczas gdy taki PIW nadal wydawał klasyków i to, co bardziej ambitne. Istniała więc specjalizacja i czytelnice prawo wyboru. Cóż, kiedy czasy uległy odmianie. Zmuszony finansowym imperatywem także i PIW szuka dzisiaj hitów, choćby w rodzaju „Koranu”. „Koran” jak „Koran” — ma swoich miłośników, ale obawiam się, że na „Koranie” rzecz cała się nie skończy.

Sytuacja wydawnictw narzuca, co naturalne, określone preferencje autorom. Odnoszę wrażenie,

że gdyby żył u nas współcześnie Faulkner, nie wykpiłby się jedynie debiutem w postaci kryminału, lecz musiałby pisać kryminały do końca swej literackiej kariery. Nie zamierzam przy tym przytykać oczu na fakt, że zawsze było podobnie. (Od początku „tygryś” przynosił autorowi większy dochód niż taki dajmy na to „Palac” chyba że został sfilmowany.) Niepokoił mnie tylko to, że obecnie taka sytuacja staje się regułą. Tak jak kiedyś nadmierne preferowaliśmy zasługi, tak obecnie liczy się tylko to, co kupią. A cóż mogą kupić? Zjemy wszak w kraju, gdzie rekordowym wzięciem cieszyła się „Niewolnica Isaura”. W ten sposób będziemy dalej „ciągnęli” autorów miernych, tyle że z pomocą odwróconych pryncypiów. Nadal rozbrzmiewał będzie także lament nad poziomem czytelniczego wyrobienia, a „Powrót do Edenu” stawał się społecznym fenomenem. (Nawet zwykle poważne „Życie Literackie” też trzecią część „Edenu” zaczęło na swych łamach drukować...)

Śięganie przez piszących do tematów nośnych, przemawiających do gustów powszechnych, rozpalających w sposób nieskomplikowany czytelniczą wyobraźnię, jest tylko prostą konsekwencją opisanej powyżej sytuacji. Z czegoś trzeba zacząć żyć. Coraz wyraźniejszy staje się zwrot ku prozie niebeletrystycznej, reportażowej, o posmaku sensacyjnym, co jest przy okazji mądrze interpretowane jako odmiana w społecznym zapotrzebowaniu. I tak jak poważne niegdyś pisma literackie musiały obecnie chwycić byle chałwą, na której opierał się co bardziej popularny telewizyjny serial, tak i poważni autorzy coraz częściej tworzą dzieła przyprawione krwią z niemalym dodatkiem spermy. Śięga się także do tematów zamierzonych, przebrzmiałych, przywoływania których nie, poza sensacyjnością, nie motywuje. Gdzie teraz w tym kociokwiku miejsce dla debiutantów? Kto ich zechce drukować? Kto dojrzy szansę, by na nich zarobić? Ktoś powie, że gdzie indziej jest zupełnie podobnie. Może. Tylko, że w takim razie nie lamentujmy nad powszechnym upadkiem literatury, nad brakiem wielkich nazwisk i tytułów, idźmy na wydawniczy wolny rynek i plaćmy autorom duże miliony. Niech otrzymują procent od każdego sprzedanego egzemplarza. Są już zawodowi piłkarze, dla czego nie ma być naprawdę zawodowych literatów? Nie wykluczam, że zidiocenie świata jest zaprogramowana wykładnia masowej kultury XX wieku.

Zostawmy jednak rzeczy ogólne i przejdźmy do konkretnych.

Wspomniana powyżej sytuacja wydawniczo-autorska odbija się w sposób naturalny także i na trzecim etapie „produkcyjnym” książki: jej dystrybucji. A to jest najbardziej interesujące. Chodził w tym o to, co czytelnikom oferujemy, najbardziej zaś o to, co jest przyswajane. Sytuacja polskiej książki jest tymczasem przedziwna. Zalałiśmy w poważnym stopniu jej niedobory, o co było tyle obaw we wczesnych latach osiemdziesiątych, zaraz pojawił się jednak problem zgola odmienny. Książka staje się coraz bardziej towarem luksusowym; coraz bardziej przypomina sytuację owych gnijących bananów na wystawach prywatnych warzywniaków. Jest w naszym kraju niezwykle droga. Nie ma racji minister kultury i sztuki, profesor Aleksander Krawczuk, twierdząc, że w relacji do innych artykułów nasze książki mieszczą się jeszcze w cenowej normie. Nie zamierzam prezentować tu wycieńzeń z różnych krajów świata, gdyż byłby to zabieg jałowy i po prostu niemiły. Polacy i tak wystarczająco dużo jeżdżą za granicę, by sami wiedzieć, jak jest naprawdę.

Kiedy podnosi się u nas ceny na rozmaite artykuły spożywcze i przemysłowe, prasa ogłasza alarm, toczą się szerokie konsultacje społeczne, związki zawodowe wtrącają swoje trzy grosze. W przypadku książki obowiązuje jednak milczenie. Rosnące ceny na produkcję wydawniczą przechodzą bez specjalnych oporów. Czy rzeczywiście nie wypada nie mówić?

W ten właśnie sposób stała się książka obiektem spekulacji. Jak słusznie zauważył, z domieszką sarkazmu, profesor Adamski: Polacy nie są już narodem romantyków. Od czasu kryzysu potrafią dobrze kalkulować. Książka to znakomita lokata kapitału. Dostępny niegdyś zawsze w antykwariatach

Siemkiewicz dojrzeć na półkach rodaków jak ulubiony trojnak pana Zagłoby, aż można go będzie wymienić na... automatyczną prażkę.

W dystrybucji książki dają się zauważyć trzy płaszczyzny jej obiegu: oficjalne księgarnie, antykwariaty (z których prawie każdy musiał sobie, na kanwie zaistniałej sytuacji, dorobić dodatek „współczesny”) i bazar. czyli czarny rynek. Stosunkowo najlepiej znana jest sytuacja w obiegu oficjalnym, tj. w państwowych księgarniach. Poza okrytymi już znamieniem codziennej praktyki przypadkami sprzedaży „spod lady”, co stanowi właśnie ów zagier, na którym rośnie czarnorynkowy „bimber”, i dozowania co ciekawszych tytułów, jak kiełbasy czy kawy, wszystko jest tutaj jasne. „Perspektywy”, na przykład, tak to ilustrują: „Dziwne rzeczy dzieją się w księgarniach. Ich półki, jeszcze do niedawna puste, zapelniają się stosami książek, które nie znajdują nabywców albo ukazały się w nakładach przesadnie dużych. Wartość książek w magazynach przekroczyła już 21 miliard złotych. A jednocześnie ustawiają się długie kolejki, gdy pojawi się w księgarni pozycja, którą klienci, co wcale nie znaczy, iż czytelnicy, uznają za interesującą albo wartą kupienia. Bo, że niektóre książki stały się pokupnym towarem — nie ulega wątpliwości [...]. Ostatnio oficyna „Interpressu” wypuściła na rynek „Dzieje kultury polskiej” Bogdana Suchodolskiego, w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy, ale bardzo drogie, gdyż w cenie 4200 zł. Iu młodych, którzy przede wszystkim powinni ją przeczytać, stać na kupno takiej książki? Parafrazując wieszczą, rzecz by można, iż księga ta z pewnością nie trafi pod strzechy” („Perspektywy”, nr 7).

Pod strzechy trafiają książki w ogóle coraz rzadziej, choć niekoniecznie mam tu na myśli owe strzechy z eternitu, gdzie podnoszą one jedynie reprezentacyjność salonu „dla gości”...

Jeszcze ciekawiej przedstawia się sytuacja na etapie drugim, tzn. tam, gdzie już owa książka wydobyta zostaje spod państwowego nadzoru. Antykwariaty (choć, by zachować uczciwość, nie wszystkie) nazwałbym swoistym poligonem czarnorynkowej działalności. Ciekawym przykładem z lubelskiego podwórka może być choćby „Antykwariat, Dom Książki” przy Krakowskim Przedmieściu. Odnoszę chwilami wrażenie, że wartość książek ustalana jest tam niekiedy z pominięciem obowiązujących cenników, dominują wydania najnowsze, po roku księgarskiej „karnacji” nabywające rzekomo antykwarycznych praw. To tutaj właśnie żądano w 1985 roku za „Spuszczanie” Singera 1600 złotych (rok wydania 1983, cena oficjalna 130 zł), a więc jedenastokrotnie więcej. Nie da się ukryć, że w księgarni tej można zobaczyć na półkach nigotliwy kalejdoskop bestsellerów. Wiem jednak skądinąd, że nabywców ubywa, a kasa zaczyna przeżywać okresowe trudności.

Zanika w Polsce typ dawnego bibliofila, szperającego w gęstwie wydawnictw za tym jednym, jedynym białym krukiem, na który warto przeznaczyć ostatni z odłożonych mozołnie groszy. Chwała uczciwym antykwaryuszom, jak choćby tym z ul. Królewskiej, że potrafią jeszcze przytrzymać jakąś wybitną pozycję, zachować ją dla prawdziwych miłośników książki, uchronić od losu martwego ozdobiaka w budyńskim domu!

Trzeci obieg to już bazar; to owi „handlowcy” z cwany uśmiechem na twarzy rozkładający książkowe bogactwo wśród cebuli i czosnku; to owe moknące na deszczu „Trylogie” i „Lalki”, których ceny idą w grube tysiące. To owi nigdzie nie zatrudnieni kolejkowicze robiący w naszych księgarniach wrzask jak w mięsnej jatce; to owe postacie przygarbione, ogorzone od wódy, przejawiające nagłą i niespodziewaną miłość do wiedzy i sztuki. Dzisiaj kręcą się po antykwariacie „Dom Książki”, z wiosną powrócą znowu między sztuczne kwiaty przy PKS-owskim dworcu.

Tak, książka to towar. Czy jest o co kruszyć kopie?

Jeśli nie chodzi nam już o to, by trafiała pod strzechy, niech idzie nam przynajmniej o to, by dostał ją potrzebujący uczeń bez rujnowania zaraz domowego budżetu, by dotarł do niej naukowiec, dziennikarz, literat; by przestała być źródłem fortuny dla podchmielonych żulkików.

Wiesław Horabik

Laureaci nagród im. J. Czechowicza

Zarząd Lubelskiego Oddziału Związku Literatów, po zasięgnięciu opinii krytyków, co dwa lata dokonuje sumowania dorobku poetyckiego w środkowo-wschodniej Polsce. W latach 1985 i 1986 ukazało się w „Czytelniku”, „Iskrach”, MAW-ie i Wydawnictwie Lubelskim 31 tomików. Najlepszym książkom przyznano nagrody im. Józefa Czechowicza. Nagrodę główną otrzymała Elżbieta Cichla-Czarniawska za „Ucieczkę lądów”. Nagrody II stopnia przyznano: Henrykowi J. Kozakowi za „Coraz cichsze lata” i Ryszardowi Kornackiemu za „Puszkę Pandory”, a stopnia III — Pawłowi Gembalowi za tomik „Tak widzę”, Wojciechowi Kielczewskiemu za „Zanim iskra zgaśnie” oraz Zbigniewowi W. Okoniowi za „Onieśmielanie zmierzchem”.

Wydawnictwo Lubelskie wydało z inicjatywy LO ZLP dzieśięć debiutanckich tomików. Dwoje autorów spośród nich wyróżniono dyplomami honorowymi nagrody im. J. Czechowicza. Otrzymali je: Malgorzata Smętówna za „Kłótnie z lustrem” i Krzysztof Derdowski za „Czasowo nie ma wieczności”.

KRONIKA KULTURALNA

Wystąpiła też światowej sławy wiołoczełuska Natalia Szachnawska w towarzystwie pianistki Azy Mintajewej.

W Koleżną roku 1986 w Lublinie została Maria Urban-Mieszkowska, artystka malarska, miana portrecistką postaci dziecięcych, obchodząca w bieżącym roku 40-lecie pracy artystycznej.

Tomaszowski Towarzystwo Regionalne wspólnie z Urzędem Miasta, w 30 rocznicę zatwierdzenia przywileju lokacyjnego miasta przez króla Zygmunta III Wazę, wybiło dwa interesujące medale autorstwa miejscowego grafika Romana Muchy.

W salach Klubu Międzynarodowej Pracy i Kształki przy ul. Grzyby 1 otwarto wystawę Anny Pitoń-Bachledy „Małkówka na szkle”.

Polskie Towarzystwo Historyczne — Oddział Lublin i Klub Międzynarodowej Pracy i Kształki (przy Krakowskim Przedmieściu 20) są inicjatorami cyklu odczytań organizowanych w 40-tą rocznicę lokacji miasta, pod hasłem: „Lublin, jego sprawy i ludzie”. Jako pierwszy wygłosił prof. dr Kazimierz Myśliński z odczytem na temat „Miejscu poetyki Lublina”. 25 marca dr Stanisław Hoczysk — „Lublin przedplastowski i pierwszy plastyk”. Planuje się od kwietnia do połowy grudnia dalsze odczyty.

W dniach 3-7 marca br. odbyły się I Lubelskie Spotkania Teatrów Alternatywnych, zorganizowane staraniem „Alma-Artu”. Lubelskiej bractwo studenckiej na deskach sceny „Chałki Zaka” pokazano dobre zespoły z nowymi propozycjami, poszukiwania formalne, repertuarowe, monodramy, spektakle wieloosobowe i pomysły na scenografię. W ramach spotkań wystąpili: Bogusław Posonyk z gdańskiego Teatru Takko, Trzeci Teatr w Drozdzach z Bydgoszczy, Puła ze Starogardu Gdańskiego, Andrzej Chłopek — Teatr Indywidualny z Wodzisławia Śląskiego, Jerzy Dębina z Katowic, Teatr Siatka z Łodzi, Teatr Cogitatur z Katowic i Scena Plastykoma KUL.

W Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie odbyła się premiera sztuki „Villon”. Adaptacja tekstów Józsefa Jerzy Muszyński, który również przygotował przedstawienie, scenografie przygotowała Katarzyna Szwednicka, muzykę napisał Mieczysław Mazurek.

W Filharmonii Lubelskiej odbyła się projekcja filmu L. Perkskiego „K. Krymowski, A. Rumkowski — impresje i wspom-

Mizéria w środku miasta

Dokończenie ze str. 4-5

Pani Małgorzata Kaczyńska płucze pod studzienką dziecięce łaski. Potem idziemy zobaczyć zaśnieżone od wilgoci kąty jej domu. Jest względnie ciepło, bo pod kuchnią buzuje ogień. Pani Małgorzata wyciąga plik zdjęć. Robił je mąż, jako dowód dla Sanepidu. Zdjęcia przedstawiają podwórko. Są komórki, nawet nowe, wystawione niedawno przez administrację. Jest też ruina ubikacji. Ani tu wejść, ani pa-trzeć.

— Owszem — mówi pani Małgorzata — było „WUKO”, ale stwierdzili, że nie są górnikami i tych pokładów zamarniętych odchodów nie mogą „ruszyć”. Usuną je, gdy przyjdą roztopy.

W tych i innych dzielnicach domków z opoki i drewna podobnych szamb jest mnóstwo. Wszystkie czekają na roztopy. Przerazająca „amazonia”.

A dziurawe dachy, ciekące ściany? Podaniami, piśmami, prośbami, lekarskimi zaświadczeniami można jedynie wytapetować ściany, ale, jak dotąd, niewiele udało się uzyskać tą drogą materiału na pokrycie dachów.

No, cóż, ta substancja mieszkaniowa, zlasowana, zużyta, idzie pod walec. Ale który to już dziesiątek lat idzie pod ten walec? Nadzieje mieszkańców, także i ulicy Podlaskiej, spłaszczają się coraz to bardziej.

Oto jedną z zamieszkałych izb przy wspomnianej ulicy, Podlaskiej 10. Trzy kobiety, dwoje dzieci, bladziutkich, aplemicznych. Jedno z nich niewidome. Nie widzi więc ani wiecznie panującego tu półmroku, ani zmurzałej i rozpadającej się z wilgoci podłogi, ani stonóg wylazających zza papierów, które dziesiąta już warstwa nalepiła na ściany, by je choć trochę przysłonić i osuszyć. Za oknem — komórki i ubikacja. Kiedy kapie z dachów, smród weiska się wszystkimi szparami.

Rozmawiamy, trochę się śmiejemy, by pokryć wzajemne zażenowanie. Jedna z mieszkanki leży chora, druga krząta się przy kuchni i dziecku. Co tu pytać, co tu radzić i pocieszać? Tak, ma być tu w przyszłości duże osiedle spółdzielni mieszkaniowej. Jak daleko stąd, z Podlaskiej, Chełmskiej, Skiłbińskiej, Hrubieszowskiej i innych, do tej przyszłości? Podobno tuż, tuż...

Gruz po domach przy Łęczyńskiej wywożą ciężarówki i wtedy ulica Podlaska graniczy będzie z ważną arterią przelotową, prowadzącą do nowoczesniejszych, skomputeryzowanych zakładów przemysłowych Lublina. Może ktoś wtedy dojrzy ów podmiejski, strupieszasty skansen? Wybudowany z początku wieku, jako bieda-domki na terenach dawnego folwarku Bronowice, jednej z najwcześniejszych i najusilniej uprzemysławianych dzielnic miasta. Tylko czy samo spojrzenie przyspieszy proces odslumśnienia? Jak na razie, Chronos ostrzy sobie zęby na kolejne porcje substancji mieszkaniowej. Już nie tylko na przedmieściach, ale i w samym środku miasta. Nowe dzielnice zostawi sobie na deser.

Marta Denys

Pierwszą grupę materiałów stanowiły korespondencje i artykuły Piłsudskiego, zamieszczone na łamach pisma wychodzącego w Genewie — „Przedświt”. Były one poświęcone następującym problemom: rusyfikacji, represjom władz carskich, sprawom wewnętrznym miasta Wilna, szkolnictwu, przesładowaniom katolików na Litwie, obchodom święta 1 Maja, ludności żydowskiej. W tej ostatniej korespondencji, pochodzącej z września 1894 r., Piłsudski podkreślił, że dla proletariatu żydowskiego zamieszkującego ziemie litewskie najkorzystniejszym rozwiązaniem byłaby współpraca z proletariatem polskim, oderwanie Litwy i Polski od Rosji oraz utworzenie republiki polskiej.

W sierpniu 1893 r. opublikowano korespondencję pt. „Stosunek do rewolucjonistów rosyjskich”. Była ona anonsowana przez redakcję „Przedświtu” jako „oficjalne wypowiedzenie się PPS w kwestii stosunku jej do rewolucyjnych grup rosyjskich”. Autor pominął całkowicie problem współpracy polskich i rosyjskich socjalistów na gruncie klasowym, natomiast postawił tezę, że żądanie samodzielnej Rzeczypospolitej demokratycznej, wysunięte przez PPS, powinno być poparte przez rewolucyjne grupy rosyjskie, które z kolei swoją działalność „na terenie przez PPS objętym, poddadzą jej kontroli”. W tym sformułowaniu dała znać o sobie teza Piłsudskiego o odbudowie państwa polskiego w granicach przedrozbiorowych. (PPS w tych latach prowadziła swoją działalność w Królestwie i na ziemiach litewskich.)

Drukowane w „Przedświcie” korespondencje i artykuły pióra J. Piłsudskiego nie zawierały praktycznie żadnych informacji o poglądach ideowych autora. Nie można się zorientować, na ile Piłsudski był związany z socjalizmem, czy ta idea stanowiła podstawę jego działania. Znalazły się tu głównie informacje, których autorem mógłby być człowiek w ogóle nie związany z ruchem socjalistycznym. Jeden natomiast wniosek był bezsporny: autor prezentował się jako zwolennik wywalczenia niepodległości Polski.

Kolejną grupę stanowiły artykuły zamieszczone w „Robotniku” w latach 1894—1900. L. Wasilewski, autor przedmowy, stwierdził, że „wybranie z 35 pierwszych numerów „Robotnika” prac Józefa Piłsudskiego następczo bardzo wiele trudności — trudności niekiedy wprost nie do przewyżyczenia”. Podkreślił, że trudno było ustalić autorstwo, w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ artykuły te wyrażały często nie poglądy indywidualne, a opinie kierownictwa. Druga trudność wynikała z faktu, że artykuły nie były podpisywane. Z tych względów redakcja wydawnictwa „spomiędzy sześćdziesięciu paru artykułów poddanych analizie” połowy nie wydrukowała. W pracy zamieszczono ich 37. Poświęcone są one głównie ukazywaniu się pisma „Robotnik”, rocznicom stracenia członków partii „Proletariat”, obchodom święta 1-Maja, rusyfikacji, działalności administracji carskiej i państwa rosyjskiego. W innych autor pisał o polityce ugodowej klas posiadających, o Finlandii, rocznicy puszkinowskiej, strajkach, kongresie londyńskim II Międzynarodówki, IV Zjeździe PPS, wybraniu socjalistów galicyjskich do parlamentu, policji fabrycznej i o fabrycznej służbie zdrowia. W kilku artykułach wyraźnie zaakcentowano podstawowe zadania PPS — wywalczenie niepodległej Polski. W jednym z artykułów pt. „Na posterunku” (7 czerwca 1895) Piłsudski podkreślił, że socjaliści polscy są obrońcami Zachodu przed caratem i oparciem dla „początkujących ruchów socjalistycznych u sąsiadów ze wschodu”.

Godna podkreślenia jest jeszcze jedna kwestia. W artykułach tych nie znajdziemy żadnej uwagi bądź wyrażenia stanowiska wobec problemów ideologicznych ruchu robotniczego, zarówno polskiego, jak i międzynarodowego, a „przecież koniec lat dziewięćdziesiątych XIX. stulecia obfitował w liczne dyskusje o kształcie ideowym

Socjalizm Józefa Piłsudskiego

socjalizmu na ziemiach polskich i w ramach II Międzynarodówki.

W roku 1895 wydano w Londynie jednodniówkę „Robotnik”, w której J. Piłsudski zamieścił artykuł pt. „Rosja”. Autor dokonał w nim analizy sytuacji wewnętrznej w Rosji. Przyjął założenie, że ruch robotniczy w tym państwie będzie słaby i „że wytworzenie się silnej partii robotniczej przy obecnych warunkach ekonomicznych i politycznych w Rosji jest niemożliwe i na długo takim pozostanie”. Odrzucał również możliwość wybuchu rewolucji w Rosji. Te dwa twierdzenia już na początku XX wieku zupełnie nie sprawdziły się w praktyce.

W dalszym ciągu artykułu autor stawiał wniosek, że podstawową siłą przyszłej rewolucji będą narodowość zamieszkujące zachodnie ziemie imperium, zaś pomocniczą — rosyjski ruch robotniczy. Natomiast celem socjalistycznej partii polskiej miało być przygotowanie ludowego powstania, w którego wyniku ukształtuje się demokratyczna Rzeczpospolita, a w niej dopiero klasa robotnicza będzie mogła podjąć walkę o realizację programu socjalistycznego.

Wyjątki z korespondencji i sprawozdań Centralnego Komitetu Robotniczego PPS (lata 1894—1900) to kolejna grupa materiałów. Nie wniosły one niczego nowego dla zobrazowania poglądów J. Piłsudskiego, miały jedynie charakter informacyjny, dotyczyły spraw organizacyjnych, finansowych i sprawozdawczych. M.in. w sprawozdaniu na IV Zjazd PPS znajdujemy informację o lubelskiej organizacji PPS. Rozpoczęła ona swoją działalność w 1895 r. i w omawianym przez sprawozdanie okresie (1896 r.) podkreśla się, że „stosunki lubelskie odznaczają się chaotycznością nie dającą gwarancji trwałości oraz rozwoju”.

W 1896 r. w Londynie opublikowano broszurę pt. „Pamiętka majowa 1896”. Jej redaktorem był J. Piłsudski, który również zamieścił w niej artykuł pt. „Nasze Pismo”. Omówił w niej historię organu prasowego PPS „Robotnik”.

W 1898 r. Piłsudski napisał wstęp do wydrukowanej w Londynie pozycji zawierającej wydostane przez petersburską organizację PPS tajne materiały rządu carskiego, w tym memoriał księcia Aleksandra Imertyńskiego. Dotyczył on polityki rządu carskiego w zaborze rosyjskim. A. Imertyński w swoim memoriale proponował carowi przeprowadzenie skromnych reform na ziemiach polskich. Opublikowanie tych materiałów przyniosło rozgłos PPS, a zarazem ujawniło lekceważące opinie Imertyńskiego o przedstawicielach polskich grup ugodowych.

Tom I wspomnianego we wstępie wydawnictwa kończą odezwy z lat 1893—1898. Przy nich L. Wasilewski poinformował o trudnościach, jakie miała redakcja w związku z ustaleniem ich autorstwa. Zostały opublikowane tylko te, „które nie nasuwały wątpliwości co do ich autorstwa”. Zamieszczono ich tylko osiem. Pierwsza z nich poświęcona była socjalistom żydowskim. Podstawowa teza głosiła, że tylko jedność Żydów z Polakami i Litwinami przyniesie rozwiązanie kwestii żydowskiej. Trzy następne odezwy były poświęcone wizycie cara i walce z caratem, odsłonięciu pomnika Murawjewa w Wilnie oraz rocznicy urodzin A. Mickiewicza. Również i odezwy nie wniosły niczego nowego do

poszerzenia wiedzy o Piłsudskim jako socjalistę.

W roku 1903 opublikowano artykuł J. Piłsudskiego pt. „Jak stałem się socjalistą”. Autor opisywał wydarzenia, które działy się wiele lat wcześniej. A. Garlicki stwierdził, że pisał go jako przywódca partii, w celach niejakiej dydaktycznych. Stąd naturalna skłonność do fryzowania przeszłości”. Odnosi się to szczególnie, według Garlickiego, do stwierdzeń autora mówiących o tym, że „wracal Piłsudski z zesłania jako ukształtowany działacz polityczny” i że w momencie jego powrotu ruch robotniczy na ziemiach polskich wybrał orientację PPS-owską.

Wracając do artykułu: autor wspomina atmosferę domu rodzinnego, przepełnioną patriotyzmem i koniecznością walki z wrogiem ojczyzny, która wręcz przechodziła w nienawiść do zaborcy. W innym miejscu stwierdził „razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przynieśli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznaję, że była to moda, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemię socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży, rewolucyjnie czy tylko o pozycyjnemu usposobionej”. Przyznał również, że gdyby zetknął się w pierwszej kolejności z socjalizmem negującym tradycję powstańczą, to odrzuciłby go. W zakończeniu artykułu podkreślił, że „socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce”. Do tego ostatniego stwierdzenia konieczne jest przypomnienie wydarzeń roku 1918. Polska odzyskała niepodległość, Piłsudski został Naczelnikiem państwa, jednak nie kwapił się do realizacji tezy, którą głosił na początku XX wieku.

Oceniając omawianą działalność pisarską J. Piłsudskiego, należy podkreślić, że w zdecydowanej większości była ona pozbawiona treści socjalistycznych. Mimo że od 1895 r. był członkiem ścisłego kierownictwa PPS, nie został teoretykiem ani ideologiem partii. W działalności agitacyjnej interesowały go wyłącznie sprawy o charakterze doraźnym. Swoje działania podporządkował jednej z zasad Programu Paryskiego PPS: odbudowie niepodległej, demokratycznej Polski. Ale ten postulat był wysuwany także przez ludzi dalekich od socjalizmu.

W 1904 r. Piłsudski rozpoczął swoją grę z Japonią. W niej będzie szukał sojusznika do walki z caratem. W wydarzeniach lat 1905 — 1907 opowiedział się za ideą powstańczą. Stał się jednym z inspiratorów rozłamu w PPS, która w 1906 r. podzieliła się na prawicową PPS Frakcję Rewolucyjną i PPS Lewicę. Przed I wojną światową, za zgodą władz austriackich, stworzył na terenie Galicji organizację paramilitarną. W momencie wybuchu I wojny światowej, wymarszem pierwszej kadrowej do Królestwa, rozpoczął epopeję czynu zbrojnego Legionów, walczących przy boku państw centralnych. W roku 1917 doprowadził do zerwania z nimi. W tych samych latach ostatecznie rozszły się jego drogi z ruchem socjalistycznym. Doszło do tego, że w 1918 r. kiedy powstawała niepodległa Polska, wysiadł — jak sam powiedział — „na przystanku Niepodległość”.

Emil Horoch

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), opiekun techniczny — Ewa Jurek, korektor — Barbara Ceban.
Redakcja nie zwiera materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmie interesantów kierownik działu we wtorek w godz. 14—18.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKW w Lublinie ul. Unicka 1.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 355-30.
Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat redaktora naczelnego i ca. redaktora naczelnego 235-82; sekretarz redakcji 218-92; dział administracyjny i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztowe i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Rok 2005 - księżycowa odyseja?

Księżycowe miasto nie jest już utopią. NASA przedstawiła właśnie jego projekt, „pod klucz”, Kongresowi. Cena 80 miliardów dolarów. Pił badaczach nastaje oto czas pionierów. Takim wstępem poprzedza redakcja „Le Nouvel Observateur” artykuł Bernarda Werbera poświęcony kolonizacji Księżyca.

MARZYCIE o małym, cichym zakątku z dala od miejskiego hałasu? Spójrzcie w niebo. Dlaczego nie mielibyście pojechać na Księżyc (planetę nazwaną tak od greckiej bogini Seleny), by zmienić swoje życie? Nie jest to już odwieczna chimera, marzenie z gatunku science fiction. W zeszłym tygodniu Wendel Mendell, jeden z dyrektorów Ośrodka im. Johnsona w Houston (Teksas), oficjalnie przedstawił Białoemu Domowi plan kolonizacji „wieczornej gwiazdy”. „Katastrofa promu kosmicznego nie zmieni — powiedział. — Pierwsze osady „ziemsko-księżycowe” będą mogły być gotowe za 20 lat!”

W pierwszym etapie — stwierdza pismo — gdzieś koło roku 1997, satelity umieszczone wokół Księżyca powinny wyszukać strefę najlepiej nadającą się do kolonizacji. Musi to być jakiś mały, sympatyczny zakątek, bogaty w minerały nadający się do wydobycia, a jego powierzchnia nie powinna być zbyt sypana. Wówczas na miejsce udadzą się ekipy geodetów, by wyznaczyć teren przyszłej wioski księżycowej.

Drugim etapem będzie wznoszenie budynków. Zacznie się w roku 2005 wraz z wysłaniem osadników i wielkich kontenerów zawierających sprzęt niwelacyjny. Pierwsza osada pozaziemska zostanie zbudowana na powierzchni hektara, wyłożonej rozkruszonymi i utwardzonymi przez mikrofałę skałami księżycowymi. Na tym terenie kontenery (rodzaj ogromnych rur o średnicy 6 metrów i długości 18 metrów) ułożone zostaną w sześciobok i służyć będą „księżyczanom” za pierw-

sze schronienie. Potem, stopniowo, sześcioboki połączone zostaną, jak w klockach Lego, w coś w rodzaju komórek plastra miodu, gdzie będzie mogła żyć na stałe prawie setka ludzi. Pierwszy kształt księżycowej wioski (wzoryc będzie 21 kontenerów połączonych w ten sposób, by stanowiły trzy wielkie sześciokąty. W środku każdego z nich znajdować się będą wielkie, nadmuchane kule o wysokości 18 metrów, dające schronienie: w pierwszym sześcioboku — eksperymentalnej farmie; w drugim — laboratorium badawczemu powierzchni księżycowej; a w trzecim — mieszkaniom „księżyczan”.

Jak będzie się żyło na Księżycu? Trochę tak jak w bazie polarnej, chociaż w większym zamknięciu. Ponieważ Księżyc nie ma atmosfery, to promienie kosmiczne, bardzo niebezpieczne dla naszego organizmu, nie są filtrowane. Poza tym ten naturalny satelita jest często bombardowany meteoritami różnej wielkości. Jedynym więc rozwiązaniem jest przykrycie naszej ślicznej, małej wioski workami z płaskim księżycowym. W rezultacie przypominać ona będzie — jak się mówi w Waszyngtonie — wielką piramidę w stylu Inków.

Oczywiście ten mały, cichy zakątek wywoływać będzie raczej skojarzenie z kretowiskiem. Ale na szczęście życie na Księżycu będzie miało swe zalety. Mała siła grawitacyjna i brak atmosfery pozwolą na wykonywanie większości zadań przy użyciu minimum energii. Będziemy lżejsi siedmiokrotnie i nie będzie wcale oporu powietrza. „Jest to wielka zaleta księżycowego osiedla w po-

równaniu ze stacją orbitalną — twierdzi Jacques Collet, dyrektor „nowych programów” Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). — Będzie można utrzymać pozycję stojącą w sposób trwały, nasze kości nie będą się odwapniały, ponieważ będą podtrzymywane nasz szkielet — nie będzie już młodości występujących w przestrzeni kosmicznej Ponadto, jako że nie ma atmosfery, energia słoneczna o dużej intensywności będzie łatwa do wyzyskania za pomocą wielkich luster. Powinno to zaspokoić wszelkie potrzeby energetyczne osadników”.

Liczne badania geologiczne przeprowadzone w latach 1969-72 przez wyprawy w ramach programu Apollo pozwoliły na poznanie bogactw powierzchni księżycowej. Są one nieblatne. W skałach księżycowych jest 40 proc. tlenu, 20 proc. aluminium i 20 proc. krzemu oraz wiele metali, takich jak żelazo lub tytan.

Tlen, odzyskany z księżycowej gleby i przefiltrowany, posłuży do sztucznego odtworzenia atmosfery niezbędnej do oddychania. Wykorzystywany będzie jako paliwo dla rakiet. W połączeniu z wodorowymi cukierkami przekształci się w wodę, która pozwoli na stworzenie rolnictwa, uprawianego pod ciśnieniem.

„Będzie to coś w rodzaju wysuniętego ziemskiego portu — wyjaśnia Jacques Collet — budować się tam będzie i montować przy użyciu bardzo małej ilości energii ogromne rakiety, co byłoby niemożliwe na Ziemi. Zainstaluje się na zacienionej stronie Księżyca teleskopy, a przede wszystkim radioteleskopy, których funkcjonowanie nie będzie już zakłócać przez ziemskie instalacje elektryczne”.

Jak widać, projekt ten jest kamieniem węgielnym podboju naszego układu słonecznego i poznania Wszechświata. Oczywiście ta mała wioska pozaziemska wymagać będzie zainwestowania 80 miliardów dolarów. Przypomnijmy jednak, że same wyprawy w ramach programu Apollo kosztowały, bagatelka, 73 miliardy dolarów. Czy Kongres amerykański zgodzi się na wydanie tej sumy, gdy budżet NASA został dopiero co jeszcze bardziej okrojony? Odpowiedź poznamy za kilka miesięcy, ale gdyby była negatywna, to Rosjanie już zaproponowali ONZ powołanie światowej organizacji kosmicznej, która zajęłaby się „operacją Księżyc”.

Zderzenia

Test na wyobraźnię

KILKA DNI TEMU moje dziecko było operowane na wyrostek robaczkowy. Drobna operacja kosmetyczna, jak twierdzą lekarze. No cóż, dla nich to chleb powszedni. Ale nie dla operowanego dziecka, ani tym bardziej dla rodziców. Tymczasem chirurgia dziecięca przy ul. Staszica załatwia sprawy metodycznie i biurokratycznie. Dokładnie o godz. 11 zbiera się tłumek w portierni przed schodami i wszytkowiedzący lekarz, wertując notatki, beznamiętnym tonem oznajmia, ile dziecko ma temperatury, jak się czuje i kiedy wyjdzie do domu lub że jeszcze nie wyjdzie przez dwa tygodnie. Potem co bardziej przedsiębiorczy rodzice usiłują dostać się na górę, powołując się na różnych znajomych. Jeśli im się uda i na górę dożyruje akurat bardziej pobłażliwy lekarz, zerkają przez uchylone drzwi. Jeśli mają szczęście, czasem udaje im się zobaczyć pociechę. Ale może opisać to dokładniej na własnym, przypadku.

W piątek, późnym wieczorem, zostałam dziecko w szpitalu. Kiedy zadzwoniłam w sobotę, było już po operacji. Natychmiast tam pojechałam. Kiedy weszłam do gabinetu, dyżurny lekarz (nazwiska nie podam, on i tak wie) rozmawiał, bynajmniej nie służbowo, przez telefon. Moja obecność sprawiła, iż musiał przerwać. Już to widocznie wprowiło go w zły humor. Kiedy zapytałam, czy mogłabym włożyć fartuch i wejść do dziecka na chwilę, bo właśnie obudziło się po operacji, kategorycznie zabronił.

— Od trzydziestu lat — wykrzyknął — nie wchodzi się na ten oddział. Ja wiem, że chce pani zaspokoić swoją ciekawość, ale to niemożliwe.

— Po pierwsze, o ile pamiętam, kilka lat wcześniej operowano tutaj dziecko mojej koleżanki i ona, wraz z całą rodziną, przychodziła codziennie i opiekowała się maluchem. Ale ona miała znajomości. Po drugie, ostatnio na całym świecie robi się wszystko, by matka mogła być obecna przed i po operacji dziecka. Bo wiem każdy stres powoduje osłabienie organizmu; a o to przecież chodzi, by ten organizm jak najszybciej doprowadzić do stanu równowagi. Jeśli pan jest człowiekiem światłym, to powinien pan o tym wiedzieć — od-
rzekłam.

— Proszę kierować te pretensje do kogo innego, takie są ustalenia. Proszę stać wyjąć.

— Może przynajmniej mógłby pan udzielić mi informacji o stanie zdrowia mojego dziecka — zapytałam mniej pewnie.

— Informacje jutro o godzinie 11 — sucho oświadczył pan doktor. Nie miałam kontrargumentów.

Minęło kilka dni. Od tamtej pory widziałam się z dzieckiem trzy razy, przez uchylone drzwi. Kilka minut, w strachu przed panem doktorem. Udało mi się też raz porozmawiać przez telefon, który w dwudziestym wieku jest w szpitalu urządzeniem zbyt nowoczesnym, by go używać na co dzień. W związku z tym ludzie np. z Chełma dojeżdżają codziennie na godz. 11. Nadmieniam, że dziecko moje ma dwaście lat i na całe szczęście jest matką. Ale dzisiaj, kiedy znów „prze-goniona” przez tego samego pana doktora odchodziłam już od drzwi, moja córka wybiegła i zawołała: „Pocałuj mnie chociaż, mamusiu”. I wtedy się załamalam. Przyszłam do domu i napisałam powyższe. Niech wiedzą, że nie wszyscy dziennikarze mają znajomości w kręgach lekarskich. Bo przypuszczam, iż lekarzowi, który to czyta i bierze do siebie, i tak nie pomoże. Braku wyobraźni nie można bowiem niczym zrekompenzować.

(f)

Dlaczego w niełasce

OTO, ŚLICZNE, jak malowane, studentki stomatologii V roku.

Rozwiązanie krzyżówki nr 4 z szyfrem

Poziomo: psychologia, mezzosopran, ręcznik, ambicja, teżyzna, nitro, Jazon, afisz, pampa, kran, radio, reja, nerki, jeleń, świt, idiom, kuna, złość, garaż, lapis, chwyt, kapitel, cenzura, Altdorf, nartostrada, zatrzymanie.

Pionowo: peron, zakon, ideał, cesarz, świat, okiść, lekcja, igelit, Anita, Gracz, racja, orgia, ambona, dzonka, Michał, Olkusz, forma, znaki, Piast, sroki, ostrze, ustasz, pajac, płyta, hydra, plewy, Niasa, tafle.

— Co mówi paniom nazwisko prof. dr. Antoniego Cieszyńskiego?

— To nie tutaj. Takiego tu nie ma!

— Może jednak? Ciszka.

— A jako twórca stomatologii polskiej?

— To zależy, można mieć inne zdanie — odcinają się „stomatolożki”.

— Jego biogram podają encyklopedie, więc?

— Nie, nie znamy! Ale, ale — wtrąca jedna z najsłodszych — jest przecież metoda Cieszyńskiego, chyba znieczulania nerwu?

— No, to już coś!

Od lat na klatce schodowej dawnej kliniki stomatologicznej, a obecnie wojewódzkiej przychodni przy ulicy Lubartowskiej w Lublinie, stoi popiersie prof. dr. Antoniego Cieszyńskiego — twórcy polskiej stomatologii, jak głoszą kute w brązie litery.

W nowym gmachu Instytutu Stomatologii Akademii Medycznej, jak na razie miejsca dla prof. dr. Cieszyńskiego nie przewidziano. Czyżby był w niełasce?

PS. Z encyklopedii: „Cieszyński Antoni (1882—1941), lekarz stomatolog, prof. i dyr. Instytutu Dentystycznego Uniwersytetu we Lwowie, twórca reguły izometrii w radiologii; opracował metodę zdjęć rentgenowskich zewnątrzakustycznych; redaktor i wydawca czasopism: „Polska Dentystyka”,

„Polska Stomatologia”, „Słowiańska Stomatologia”. Zamordowany przez hitlerowców”.

Nie ma litości dla arcydzieł

PRZELEĆMY WZROKIEM. Oto: „Faraon”, „Krzyżacy”, „Chłopi”, „Dzieje grzechu”, „Kolumbowie rocznik 20”. „Boso ale w ostrogach”, „Przemięło z wiatrem”, „Nadzy wśród wilków”. Lećmy dalej: solidnie oprawione, złożone modlitewniki z początku XX wieku, „Biologie und Pathologie des Weibes” pod redakcją prof. dr. J. Halbana, „Słownik ortograficzny”... Czyżby spis podręcznej biblioteczki?

Takie oto tytuły trafiły niedawno na makulaturę do jednego z punktów skupu w śródmieściu Lublina. Książki do czytania, nauki, modlenia wymienione zostały na papier do d... Dosłownie i bez przenośni.

W walce o prozaiczny artykuł codziennego użytku nie ma litości nawet dla arcydzieł.

Epitafium dla topoli

NIEBAWEM TOPOLE rosnące wzdłuż Alei Racławickich zostaną wycięte, a korzenie wykarczowane. Na ich miejsce Zieleni Miejska posadzi nowe drzewa. Nim wyrosną, brak nam będzie — wizualnie — tego okazałego, zielonego szpaleru.

Topole posadzone zostały w 1934 roku, kiedy to z nawierzchni Alei Racławickich zdjęto kamienie polne i zastąpiono je klinikiem. Następnie usunięto wystające w chodnikach zabudowania. Jezdnię, niestety zwałono, ale wytyczono za to dwa pasy zieleni z wygodnymi, szerokimi chodnikami.

Pół wieku i trzy lata szumiały więc owe topole...

(dey)

Ogłoszenie

Biopowinowactwa, biorytmy. Bielsko-Biała, skr. 168. Prześlij datę urodzenia swoją lub partnerów.

1809/K-3